

Hajota

P O E Z Y E



13650 I

Pani Eliza Onusowa [31]
proszę

wp.

Wielkocielka zę. talenta

Warszawa 12go Sierpnia

8 4/5

POEZYJE.

13650

HAJOTA.



P O E Z Y J E.



WARSZAWA.

LESMAŃ I ŚWISZCZOWSKI.

—
1884.



„Nie wiem, czyś się zastanawiał
kiedy nad tém, jakich udręczeń
doznawać może człowiek, któremu
Bóg dał nawskroś artystyczną du-
szę, który czuje i kocha prawdziwe
piękno, i w myślach swoich tworzy
arcydzieła, a który, gdy je chce
z siebie wydobyć, tworzy tylko
niekształtne, śmieszne dziwolągi,
urągające się wszystkim jego wy-
sileniom.

(*Asnyk. Przyjaciele Hijoba.*)

DOLA GRAJKA.

Znałam ja łąkę, cudnie utkaną
Z szmaragdów trawy i pereł rosy;
Znałam ja dziewczę z buzią rumianą,
Ognistém okiem, długimi włosy,
I znałam chłopca, który corano
Na ową łąkę przychodził bosy,
W lichéj sukmance, blady, ze skrzypką,
I pod wierzbą siadywał gibką.

Tam dumał, wsparłszy na rękę skronie,
A wzrokiem gonił chmurki po niebie,
A piersią chwytał kwiatowe wonie,
Uchem szum kłosów, drżących na glebie;
A potem, skrzypce porywał w dłonie,
Namiętnym ruchem tulił do siebie
I wlewał w rzewne, uroczne nuty
Cały świat marzeń, z duszy wysnuty.

Jakby w nim nowe życie zawrzało,
Mienił się wtedy mój chłopiec blady:
Schylone czoło podnosił śmiało,
Z oblicza nędzy znikaly ślady,
Spojrzenie dziwnym blaskiem jaśniało,
A coraz nowych tonów kaskady
Płynęły, jak by hołd uroczysty
Bogu, co Jeden słuchał artysty.

Tak było codzienn. Codzienn też droga
Od wsi szło dziewczę, pędząc dwie krowy.
I miało także odzież ubogą,
Na głowie skromny wieniec habrowy
I bosc nóżki; ale nie mogą
Być piękniejszemi te, co zbyt kowoy
Strój przyozdabia; — każdaby zgasła
Przy tój dziewczynie, co bydło pasła.

Skoro ją dojrzał chłopiec, wnet skrzypki
Rzucił, z pośpiechem zrywał się z ziemi,
Biegł, a objawszy dziewy stan gibki,
Ust jój dotykał usty drżącemi.
Lecz się nie gorszcie, bo od kolébki
Była już miłość pomiędzy niemi,
Gdy się bawili ziemią zwilżoną,
Lepiąc z niój babki. On ją zwał żoną,

Ona go mężem. A gdy już z dzieci
Maryś w dziewicę, Stach wzrósł w młodziana,
Poznali wtedy, jaka im świeci
Cudowna gwiazda, jak ich różana

Ręka miłości więzi w swój sieci....
I na tój łące, pewnego rana,
Przysięgli sobie wzajem, że skoro
Stach się wspomozę, to się pobiorą.

Ach! bo był biędnym Stacho sierota!
Marysi, córki ubogięj wdowy,
Nie psuła także losu szczodrota.
Całem jój mieniem były dwie krowy.
Jego: grająca owa lichota —
Tak skrzypce Stacha zwał lud wioskowy —
Jakże więc można przy takięj biedzie
Było dać księdzu na zapowiedzie?

I tak mijały dnie i miesiące.
Stacho wciąż kochał i grywał ładnie,
Maryś wciąż krowy pasła na łące,
A jak przyrzekła, że nie owładnie
Nikt jój serduszkim, tak je gorące
Miała dlań zawsze; lecz któż odgadnie,
Czy to przez stałość, czy też że swaty
Dotychczas do jój nie przyszły chaty?

Bo chociaż serca i wzrok młodzieży
Rwały się ku niój, krasą olśnionę,
Lecz gdy, bywało, który zamierzy,
Cudną dziewczynę pojąć za żonę,
Wnet przyjaciele odradzają szczerzy:
Co po urodzie? głupstwo szalone!
I tak każdego z nich przekonano,
Że słał tam swaty, gdzie było wiano.

Aż raz na wiosnę, zda się że w maju,
Zachód był przywdział pas swój różowy,
A Stach z kochanką, według zwyczaju,
Siedli pod wierzbą. Marysi krowy
Leżały obok, na łąki skraju,
Ku wonnej trawie spuściwszy głowy.
A kochankowie, choć byli sami,
Nie nie mówili... nawet oczami.

Marysia, strojna w fioletów wianek,
Wzrok swój utkwiała w zachodniej łunie
I nie zważała, że jej kochanek
Milezy posępnie, raz wraz brwi zsunie,
Depce rosnący u stóp rumianek,
Smyczkiem bezwiednie trąca po strunie,
Patrzy przed siebie na łąk zielony
I zda się gniewny, czy też strapiiony.

Aż się odezwał: „Ej! Maryś miła!
Długoż to jeszcze tego czekania?
Toć i tak czasu minęła siła;
Na co nam zwlekać? Matusz nie wzbrania.
A gdybyś przecie moją raz była,
Rzuciłbym skrzypki i od świtania
Wciążbym pracował, aż do zachodu,
Byś tylko ze mną nie znała głodu“.

Ona mu, skubiąc w paluszkach kwiatek,
Rzekła z uśmiechem: „Na co się spieszyć?
Toż dziewiętnaście ledwo mi latek,
Tobie dwadzieścia. Sobą się cieszyć

Będziemy mieli czasu dostatek.
Ot, Stachu, przestań ty lepiej grzeszyć
Tém narzekaniem, bo po zameżciu
Już nam nie myśleć o takim szczęściu,

„Jak oto teraz, gdy w letnie ranki
Pod tą wierzbą siedzim na trawie;
Ty grasz na skrzypkach, ja plotę wianki,
Lub opowiastkę jaką ci prawię.
Czegóż chcieć więcej?“ Stach w twarz kochanki
Patrząc, uśmiechnął się jakoś łzawie,
I chciał coś mówić. Lecz mu ta pusta
Pocałowaniem zamknęła usta.

Potém, powstawszy, rzekła: „Już idę;
Matusz mi weześnieć wracać kazali,
Mają dziś z praniem chust wielką biędę,
Samiby sobie rady nie dali.“
Stach, mileząc, patrzył na tę sylfidę,
Jak za krówkami nikła w oddali,
Lecz z nią nie poszedł; choć jej różane
Usta wołały: „Pójdź“ — rzekł: „Zostanę.“

Bo chciał być samym Stacho znękany,
Modlitwą, pieśnią ukrzepić ducha.
I stłumić głos ten, dotąd nieznany,
Co mu złowrogo szeptał do ucha:
„Kochasz, lecz czyś jest równie kochany?“
A pewien, że go Bóg tylko słucha,
Pochwyił skrzypce i drżącą ręką
Grał, wtórzając sobie taką piosenką:

ŚPIEW STACHA.

Powiedz ty mi, oj wierzbino!
Z czém ja większe szczęście mam?
Czy ze skrzypką, czy z dziewczyną?
Bo ja tego nie wiem sam.

Co miłsze — śpiew?
Czy czarna brew?
Czy struny głos?
Czy złoty włos?
Ja nie wiem sam;
Kocham i gram.

Chyba równie drogie obie;
Serce, oczy, myśl i słuch
Po połowie wzięły sobie,
Mnie żyć tylko dla nich dwóch.

Dla dziewczyny niech
Będzie mój śmiech,
Dla skrzypki łzy
I tęskne sny.
Obu im dam
Wszystko co mam.

Powiedz, wierzbo, oj jedyna!
Co wierniejsze? może wiész,
Czyli skrzypka, czy dziewczyna,
Bo ja tego nie wiem też.

Co silniej drga,
Struna czy krew?
Co dłużej trwa,
Miłość czy śpiew?
Ja nie wiem sam,
Kocham i gram.

Śpiew umilkł, ale smyczek Stachowy
Wciąż ze strun nowe dobywał tony,
Smutne — jak gdyby dzwon pogrzebowy,
Tęskne — jak szczęścia sen już prześniony.
Snadź czego nie mógł wyśpiewać słowy,
To przelał w dźwięki grajek natchniony.
A uniesieniu puściwszy wodze,
Nie zważał, co się działo na drodze.

Droga ta wila się tuż przy łące,
Wiodąc do miasta; na niej już chwilę
Stał czterokonny kocz: szory lśniące
Błyszczały nawet w podróżnym pyle;
Kare rumaki, naprzód się rwące,
Ledwo mógł wstrzymać stangret, a w tyle,
Na jedwabistém kocza wysłaniu,
Siedział pan jakiś w czarném ubraniu.

Pan-to być musiał wiekiem sędziwy,
Bo włos miał biały; ale w postawie
Zachował tyle siły, tak żywy
Blask w oczach, że się młodym zdał prawie.
Wsparty na dłoni, wzrok dobrotliwy

Utkwiwszy w Stachu, słuchał ciekawie,
A gdy przebrzmiały ostatnie dźwięki,
Dał mu znak głosem i ruchem ręki

By się przybliżył. Na to wołanie
Stach, jak zbudzony, wstrząsnął się cały.
Przelekłym wzrokiem powiódł po łanie,
A gdy zobaczył kocz ten wspaniały
I tego pana, co jego granie
Słyszał zapewne, powstał nieśmiały,
Z rumieńcem, oczy spuściwszy skromnie,
A pan powtórzył: „Chłopeze, pójdz do mnie.“

Potém jał pytać o wiek, nazwisko,
A tak łagodnie, że mój lękliwy
Grajek, choć nigdy jeszcze tak blisko
Przy wielkim panu nie stał jak żywy,
Wnet się ośmielił i skłonił nisko.
„A kto cię uczył — rzekł znów pan siwy —
Tego co grałeś?“ — „Nikt, jasny panie,
Mnie samo z siebie przychodzi granie.“

Pan aż się porwał i rzekł: „Wistocie,
Chłopeze, masz gienijusz! Ale ty przecie
Wyrazu tego w swojej prostocie
Nie znasz, więc słuchaj. Niéma na świecie
Więszszego nadeń skarbu, prócz w enocie.
Ty go posiadasz, ty, wiejskie dziecko,
I możesz w górę zejść jak do nieba,
Tylko drabinę dać ci potrzeba.

Ja ją przystawię. Jestem bogaty,
Nie mam rodziny, wezmę cię sobie.
Nowe przed tobą otworzę światy,
Dam ci naukę, wielkim cię zrobię;
Ludzie ci dadzą oklaski, kwiaty,
Złoto, a później pomnik na grobie.
Przyszłość twa jasna, o ile ciemna
Przeszłość. No, wsiadaj! pojedziesz ze mną.“

Stach aż zamętu dostawał w głowie,
Słyszając to wszystko. Czyli to drwiny,
Czy szczéra prawda w téj pana mowie?
Onby miał obce poznać krainy
I słyszeć, jak tam inni grajkowie
Uczenie grają? Jezu jedyny!
I onby może grywał tak kiedy,
Nie znając żadnej troski, ni biędzy?

Już chciał przed panem paść na kolana,
By mu dziękować i wsiąść... aż oto
Przyszła mu na myśl Maryś kochana!
Cóżby się stało z biedną sierotą?
Zmarłaby może tak zapomniana!
A jemu na co szczęście i złoto,
Jeśli ma dla nich rzucać niebogę?
Więc cichym głosem szepnął „Nie mogę.“

Pan, nie przestając na téj replice,
Choć go zdziwiła, coraz-to nowe,
Piękniejsze czynił mu obietnice.

Stach się zawahał, spuściwszy głowę...
Wewnętrzna walka zbladło mu lice.
Wreszcie... przeniosło serce Stachowe
Dziwę nad skrzypkę, nędzę nad zdradę,
Odrzekł stanowczo „Nie, nie pojedę.“

I pan odjechał, gniewny nań prawie;
Konie, znudzone długim czekaniem,
Jak błyskawica pomkły w kurzawie.
Zjawisko znikło... Stach długo za nim
Poglądał, poczem siadłszy na trawie,
Głośnym, serdecznym wybuchnął łkaniem.
I odtąd więcéj nie pytał drzewa:
Co mu jest milsze, skrzypka, czy dziewa?

.....
Tymczasem, piękna krów pastereczka
Wracała boczną dróżką do chaty.
A los tak zdarzył, że owa steczka
Była też sama, którą bogaty
Kmieć z wsi sąsiedniej wracał z miasteczka;
Ten, widząc dziwę, jak strojna w kwiaty,
Wśląd za krówkami biegła przez błonia,
Zdumiony krasą jój, wstrzymał konia.

„Bóg z tobą, śliczne dziewczę“ — zagadnie;
„I z wami“ — Maryś płonąć odpowie.
A tak z rumieńcem było jój ładnie,
Że się kmieciowi zaćmiło w głowie.
Więc snadź w obawie, że z konia spadnie,

Zsiadł, i pytając jako się zowie,
Ile ma latek i dokąd śpieszy,
Wciąż się przysuwa. Maryś się cieszy,

Bo wnet z bystrością zgadła kobięcą,
Że go podbiła swoim urokiem.
Więc mówi wdzięcznie, oczki jój świecą...
Kmieć słucha... patrzy... i wolnym krokiem
Idzie... aż stanął... podumał nieco,
Ujął jój rękę i rzekł: „Przed rokiem
Zmarła mi żona, nie dawszy dzieck.
Gruntu mam kawał, bydła dostatek,

A po nieboszce takie korale,
Że gdy się nimi szyję owinie,
To jój po brodę nie widać wcale.
Innych też strojów mam pełne skrzynie.
A byś wiedziała, że się nie chwale,
Obacz to sama. Ale dziewczynie
Wstydno do męskiej zaglądać chaty;
Więc ja po ciebie chcę przysłać swaty.

Przyjmij je, Maryś, boś mi już luba.“
Ona, spuściwszy oczy, milczała,
A kmieć dorzucił: „Zwę się Skołuba.“
Jezu! wszak nieraz o nim słyszała,
Jak o bogaczu! Toż będzie chluba
Zostać mu żoną! Toż jój wieś cała
Zazdrościć będzie! A Stach co powie?...
Lecz czyż jój teraz Stacho jest w głowie,

Teraz, gdy taki los ję się śmieje?
To tylko szkoda, że już niemłody
Przyszły małżonek... trochę łysieje.
Lecz ję przybędzie zato urody,
Kiedy te śliczne stroje przywdzieje
O jakich mówił. Więc na znak zgody
Kiwnąwszy główką: „Przyszlście” — rzekła,
Chciał ją uściskać, ale... uciekla.

Nazajutrz darmo Stach u wierzbiny
Czekał kochanki. Ta, której gwoli
Został tak nisko, choć na wyżyny
Mógł był rozwinąć lot swój sokoli,
Dla której przyszlęj chwały wawrzyny
Odrzucił, lepszej wyrzekł się doli,
Nie przyszła... Bo i jakże przyjść miała,
Skoro Skołuby swatów czekała?

Od tego ranka, w trzecią niedzielę,
Szła od wsi drogą liczna gromadka,
Strojna i gwarna, a na ję czele
Maryś, prześliczna, choć nieco blada.
Przy niej Skołuba. W bliskim kościele
Ślub ich miał złączyć, poczem biesiada
Miała być huczna. Szczodry pan młody
Obydwie wioski sprosił na gody.

Właśnie nam znaną łakę mijali,
Gdy krzyki dziwne, niespodziewane

Wstrzymały pochód. Patrzą... z oddali
Mknie jakaś postać: włosy stargane,
W żrenicach straszny ogień się pali,
A wiatr rozwięwa zdartą sukmanę.
Czyli to upiór?... To Stach... Jak szybko
Leci, wstrząsając głową i skrzypką.

Dobiegłszy, krzyknął: „Héj! niedolegi!
Cóż to bez grajka znaczy wesele?
Mnie nie prosicie? Dość téj mitregi!
Ja wam urządzę śliczną kapele.
Stójcie! ksiądz czeka?... Ej! na przysięgi
Niewiasty czasu zawsze zawiele.
Nim przed ołtarzem zapalą świece,
Ja wam tu jaką piosenkę sklecę.”

Dziwnie po sobie ludzie spojrzeli,
Przejęci straszném Stacha obliczem.
Marysia, bielsza od ślubnej bieli,
Jak wajdelotka nad zgasłym nieczem,
Stała strętwiona. Wszysey milczeli.
Wreszcie Skołuba, który o nieczem
Nie wiedział, rzecze do przyszlęj żony:
„Cóż to? czy chłopiec ten jest szalony?”

Stach się roześmiał i w twarz dziewczyny
Utkwił wzrok nawpół dziki, wpół łzawy.
„Ha! ha! — zawołał — spytaj wierzbiny,
Co ot tam rośnie, i spytaj trawy.
Czym ja szalony i z czego winny
Albo, jeżeliś taki ciekawy

Hajota, Poezycje.



Dlaczego mi się zmaciło w głowie,
To słuchaj piosnki, ona ci powie.“

ŚPIEW STACHA.

Żył sobie słowiczek
W zielonój gęstwinie,
A wielki był dziezek,
Rzecz znana w ptaszynie.

W samotności szczęśliw był,
W rannój rosie dziobek mył,
W księżycową letnią noc
Śpiewał cudnych piosnek moc.

Aż raz wieher burzy
Przygnał w to zacisze
Ptaszkę, co na róży
Siadła, ledwo dysze.

Spojrzy słowik... co za dziw!
Oj nie widział, jako żyw,
Takich oczek, takich piór,
Jak u tego dziecka chmur.

Do swego gniazdeczka
Wziął ptaszkę zbłąkaną;
Najlepsze ziarneczka
Znosił jéj co rano.

A co wieczór, pośród drzew,
Dźwięczał długo cudny śpiew;
Nim kołysał słowik ten
Swój kochanki błogi sen.

Tak żyli... aż oto
Człek przyszedł, ach biada!
Klateczkę miał złotą
I ptaszce powiada:

Patrz, jak prątki w klatce lśnią,
Rzucaj gniazdko, a wleć w nią.
Słowik może zostać sam,
Piękniejszego ja ci dam.

Nie waha się ptaszka,
Frunęła z ochotą;
Bo miłość to fraszka,
Gdzie idzie o złoto.

A w gęstwinie, jako wprzód,
Była cisza i był chłód;
Kwitły wonne krzaki róż,
Tylko słowik nie żył już.
Tylko słowik nie żył już!

Tu się urwała melodyja dzika.
Stach znów się rozśmiał: „Ha! ha! — zawoła —
Wiész, co przyczyną śmierci słowika?
Teraz możecie iść do kościoła,
A tam wam zagra inna muzyka.

Héj! panno młoda! bądźże wesola!“
I odbiegł szybko. Orszak godowy
Pociągnął dalej, spuściwszy głowy.

W kościele czekał już młodej pary
Ołtarz, przybrany w kwiaty i świece.
A gdy uklękli i pleban stary
Według zwyczaju spytał dziewicę:
„Nie ślubowałaś komu wiary?“
To jeszcze bardziej zbladło jój lice,
I dziewiczego snadź pełna sromu,
Ledwo wyszeptać mogła: „Nikommu.“

W téj saméj chwili, pod tą wierzbina,
Co była świadkiem innéj przysięgi,
Stach leżał, z twarzą, nabrzmiała, siną,
Z czołem przeciętém krwawemi pręgi.
Naraz się porwał. Skrzypkę jedyną
Chwycił, w powietrzu zatoczył kręgi
I o pień drzewa strzaskał w kawały.
Jęknęły struny... Stach padł omdlały.

.....
.....

Odtąd spokojnie płynęły lata.
Marysia, jako Skołuby żona,
Była szczęśliwa, była bogata,
Tuliła śliczne dziatki u łona,
I miała miłość męża i świata.
Tylko rzecz dziwna, nieodgadniona

Nieświadomemu jój dziejów oku:
Nie mogła znosić skrzypków widoku.

A pod wierzbina, Stach obłąkany
Ze sklejonemi siadał skrzypkami;
I znowu słuchał jak szumią łany,
Znowu się kwiatów poił woniami,
Gonił po niebie chmurek tumany,
Śmiał się czasami, grywał czasami;
Ale już nigdy nie pytał drzewa:
Co jest wierniejsze, skrzypka czy dziewa?

DWIE PRÓBY.

I.

n — spytacie, kto przecie?
Lecz wybaczcie poecie,
Że nazwiskiem was jego nie darzy;
Co konieczne w metryce,
Lub w sądowej praktyce,
Z tém poezji nie zawsze do twarzy.

Gdy się powie: on, ona,
Prezentaycja skończona;
A gdy jeszcze dodamy, że młodzi:
To już każdy sam snadnie,
Nie łamiąc głowy zgadnie,
Że niechybnie o miłość tam chodzi.

Och! ta miłość skrzydlata!
Gdzież bo ona nie wlatą!
Gdzie jest człowiek, co dotrwa jój sile?

Coby, chociaż w marzeniu,
Przy tym świętym płomieniu
Nie roztajał, nie zabłysł na chwilę?

Więc niech nikt się nie śmieje,
Że miłośne mu dzieje
Opowiadam — i zacznę od balu;
Bo tam w losach młodziana
Zaszła ważna odmiana,
A sprawiły ją usta z koralu,

I twarzyczka urocza,
W ciemnych splotach warkocza.
Gdy ją ujrzał, wnet strwożniał, jak dziecię;
Ach! bo była tak ładna,
Jak na balu tym żadna,
A dla niego, jak żadna na świecie!

I nieśmiało stał z boku.
Lecz snadź tego uroku
Nie on tylko ofiarą zostanie;
Bo przez roje młodzieży,
Wzrok dziewczyny doń bieży,
A w nim świeci miłości zaranie.

I choć mężczyzn tam tylu,
Ona jemu w kadrylu
I w mazurze podaje dłoń białą.
Aż odwiecznym zwyczajem,
I tych dwoje nawzajem
Tajnie sobie swych uczuć wyznało.

Toż ot zwykły początek;
Z niego dalszy się wątek
Snuje, wiodąc do stopni ołtarza;
Albo nie ta szczęśliwa
Niewysnuta się zrywa,
I niestety! to częściej się zdarza.

Mija kilka miesięcy,
On ją coraz goręcej
Kocha, dziewczę odplaca mu szczerze;
Nie ma żadnej przeszkody;
Czemuż tedy pan młody
Swój najmilszej za żonę nie bierze?

Czemu często się zdarzy,
Że mu uśmiech na twarzy
Zniknie nagle, zasepi się czoło?
Ona na to nie zważa.
Bo ją smutek przeraża, —
Nie zna smutków, jest zawsze wesolą.

O! chichotka to pusta!
Toż dla wszystkich swe usta
Jednakowym ozdabia uśmiechem;
Choć jednemu oddana,
Na każdego młodziana
Mile patrzy — wszak nie jest to grzechem?

Lecz innego on zdania.
I to mu tak przysłania
Obraz szczęścia, i studzi w zapale;

Myśli bowiem: „O! płocha!
„Wiem, że teraz mnie kocha,
„Ale kochać czy zdolna jest stale?

„Raz doświadczyć jęj muszę.
„Choćbym straszne katusze
„Przeszedł, chętnie się na nie narażę.
„Na rok cały odjadę;
„A czy wierność, czy zdradę
„Zyskam, czas to, gdy wrócę, pokaże.“

I wnet zamiar w czyn zmienia.
Potłumiwszy westchnienia,
Do kochanki — „O! luba!“ — wyrzeczę,
„Ja cię żegnać przychodzę;
„Jutro będę już w drodze,
„A rok może się podróż przewlecze.“

Posmutniała dziewczica,
Zbladły piękne jęj lica:
„Jedziesz“ — rzekła z serdeczną łzą w oku; —
„O! to bardzo myśl zdroźna!
„Mnie tak martwić nie można,
„Ja w tęsknocie nie wytrwam pół roku.

„Będiesz potem żalować,
„Gdy ci przyjdzie mnie chować
„W trumnę, zmarłą z miłości ku tobie. —
„O! ty się upamiętasz! —
„Nie? Więc dobrze! Na ementarz
„Idź, gdy wrócisz; powitasz mnie w grobie!“

Znów go prosi i szlocha —
Jak tu wątpić, że kocha?
To téż młodzian sam nie wie, co pocznie.
Serce mówi: rzuć próby,
Niech dozgonne cię śluby
Z tą pieszczotką łączą niezwłocznie.

Lecz rozsądek mu każe
Wytrwać w dawnym zamiarze;
Więc się krzepi odwagą, i woła:
„Czyż to długo téj biedy!
„Za rok wrócę, a wtedy
„Nie nas, luba, rozłączyć nie zdoła!

„Wierną zostań mi tylko!
„Krótką cierpień tych chwilką
„Stałe szczęście zyskamy w odwecie.“
Tak ją żegnał od serca
Ten nasz uczuć probierca,
I pojechał gdzieś błdzić po świecie.

Dziewczę w gorzkich łzach tonie,
Zalamuje swe dłonie...
Czyż rok będzie wciąż płakać bez przerwy?
W tydzień rozśmiać się może, —
Nie wesoło, broń Boże!
Tylko tak... by podzielać na nerwy.

Mija kilka miesięcy,
Śmiechu coraz to więcej,
Ale pewno żaloba tkwi w duchu?

Na bal proszą gdzieś grzecznie...
Ha! być trzeba koniecznie
I tańcować... tak tylko — dla ruchu.

Zresztą czas się tém skraca.
Rok przeminął... On wraca,
Ufny w miłość swojego anioła.
Niechcąc zwlekać spotkania,
Dąży do jój mieszkania,
A tam trzeba iść obok kościoła.

Patrzy... karet tak wiele,
Pewnie jakieś wesele!
Rzecz zwyczajna — wrażenia nie czyni.
Czemuż zwolnił więc kroku,
I niepokój ma w oku,
I wstępuje w podwoje świątyni?

Za kolumną się chroni,
Rękę podniósł do skroni,
Wzrok szle w stronę głównego ołtarza; —
Gną się pod nim kolana,
Lica bledną jak ściana...
Cóż za widok go straszny przeraża?

Wraca ciżba godowa,
Wśród niej, niby królowa,
Pomarańczy nad czołem ma kwiecie,
Takiż bukiet u łona...
Mamże mówić, kto ona?
On ją poznał, wy pewno zgadniecie.

Wyszli — nawa już pusta.
On wzniosł pięście, ściał usta,
Gniew, to rozpacz naprzemian nim włada.
Przekręcając Szekspira,
Woła głosem satyra:
„O kobieto! twe imię jest — zdrada!“

II.

Upłynęło lat parę,
On kochanki niewiarę
I swą miłość wspomina minioną.
Dziwną gorycz w nim budzi
Wieść słyszana od ludzi,
Że ta płocha najlepszą jest żoną.

Biédny! za tę zawody
Czyż nie znajdzie nagrody?
Czy ze szczęścia pożegnał się błyskiem?
Uczuć przeszła już wiosna,
Prawda! ale miłosna
Recydywa jest częstém zjawiskiem.

Może Eros różowy
Urok zesze. mu nowy,
Może znów się nawiąże nie złota.
Miałby seree z kamienia,
Gdyby na nim wrażenia
Nie zrobiła już żadna istota.

Ach! ta zwłaszcza jedyna,
Jasnowłosa dziewczyna,
Którą poznał tak jakoś na dobie,
Kiedy seree zranione,
Zdjęło kiru zasłonę,
I już w lekkiej chodziło żalobie.

Tanta, była wesola.
U białego téj czoła
Myśl zawisła, poważna, marząca, —
I odmienne ma lice;
Ale mimo różnicę,
On pokochał ją w ciągu miesiąca.

Lecz do wyznań nieskory
Nawet uczuć pozory
Chce skryć, pomny na dzieje przeszłości.
A to trudno, niestety,
Bo jak wiecie, kobiety
Przenikliwe są bardzo w miłości.

Młodzian trzyma się zdala,
Ale oczom pozwala
Zrywać często z dyskrecją przymierze —
Dziewczę spojrzeń wymowę
Snać zrozumieć gotowe
I odpowiedź dać kłiwie a szczerze.

On to widzi — więc czemu
Milezy wciąż po dawnemu?
Czemu „kocham“ nie rzeknie raz przecie?

Zadumany i blady
Czy znów lęka się zdrady?
Zdrady od tój?... o! nigdy na świecie.

Raczej sobie nie wierzy,
Że miłości kwiat świeży
W sereu jego na nowo rozkwita.
Może tylko się ludzi,
Może czas go obudzi
Ze snu tego — gdy prawda zaświta?

Ach! bo myśli — ja przecie
Raz już jeden kobiecie
Seree moje oddałem i duszę.
Teraz kocham znów inną,
Taką śliczną, niewinną,
Toż doświadczyć się wprzód sam muszę.

Ufam mojej rozwadze,
Że się przed nią nie zradzę,
Ni przedwczesnym wyznaniem nie zmacę
Jej spokoju, aż szczerze
W moją stałość uwierzę,
A pewności nabiorę w rozłące.

Jeśli wrócę po roku
Wciąż pod wpływem uroku
Jakim teraz wam duszę olśnioną,
Wtedy drob jej rączki
W ślubne skąpe obrączki
O bo wiem! że mi zechce być żoną.

I odjechał, ni słowa
Oprócz „pani, bądź zdrowa“
Nie wyrzekłszy, na długie rozstanie.
Ach dlaczegoż o Boże!
Dziewczę przeczuć nie może,
Iż chłód jego, — to tylko udanie.

Biedna! główkę zwiesiła
Szepejąc: Jam się ludziła
„On mnie nigdy nie kochał, ni trocha!
Mija miesiąc, a ona
Wciąż tą myślą strapiona,
W miłość jego nie wierzy.... a kocha.

Ej młodzieńcze! czy tobie
Nie przecucie w tój dobie
Tajemniczym nie mówi nakazem:
Abyś skrócił czas próby,
I powracał do lubej —
Bo znów późno być może tym razem?

Kto wie! Lecz on wytrwały
Rok doświadczał się cały.
Zatoż potem ni chwili nie zwleka.
I w rodzinne swe strony
Zakochany, stękniony
Wraca, marząc, że szczęście go czeka.

Tą nadzieją bogaty
Spieszy znów, jak przed laty,
Spędzić smutek z kochanki swęj czoła,

W wspólném odżyć weselu,
I by stanąć u celu
Znów iść musi tuż obok kościoła.

Spojrzał w chłodną głąb nawy,
Jakiś blask go jaskrawy
Lecz ponury, uderza niemile.
Nagle, myśl mu przychodzi,
Że pomodlić się godzi
W dzień powrotu do domu, choć chwilę.

Cóż to? pogrzeb! dla Boga!
Chce się cofnąć od proga
Smutném jakięś przecuciem zmrożony.
Ach! bo trzebać mu było,
Dziś się spotkać z mogiłą,
I żałobne usłyszyć tu dzwony!

Nie spojrzawszy na zwłoki
Ku drzwiom zwraca swe kroki
Wtém go wstrzymał głos jakiś imości,
Co sąsiadce w pół cicho
Szepee: „Zda się na lieho
Kochać, ona umarła z miłości.“

Któż to? młoda czy stara
Ta uczucia ofiara?
Coś go ciągnie by przyjrzał się zbliska.
Skąd mu takie żądanie,
Pojąć nie jest sam w stanie
Lecz się wraca i przez tłum przeciska.

Patrzy — pośród zieleni
I świece drżących płomieni
Jakaś trumna dziewicza się bieli;
Mirtu na niej korona,
Z podeń rąbek welona
Na śmiertelną się zwiesza pościeli.

Młodzian podszedł tak blisko
Że już może nazwisko
Jój wyczytać, na srebrnej tablicy;
Cóż to... mięsza się, — chwije...
Biedny! jego nadzieje
W grób się złożą wraz z trumną dziewicy.

Wszyscy patrzą, on pada,
Twarz zastygła mu błąda,
Ale serce, czy jeszcze kołace? —
O nie! zastygło głazem.
I nad obojgiem razem
Kapłan rzekł: „requiescant in pace.“

BLADE RÓŻE.

I.

W noc majową — na balkonie strojnym
W kapryfolium osrebrzone zwoje,
Ku błękitom i gwiazdom spokojnym
Rozmarzony wzrok szłąc, stało dwoje.
Cicho wkoło — i tylko z salonu,
Gdzie się para za parą przemyka,
Przez otwarte szklane drzwi balkonu
Płynie ku nim balowa muzyka.
Oni stoją — niby zawieszeni
Między ciszą nocy, gwarem balu —
A snop białych księżycy promieni
Po jój białym prześlizga się szalu.
Z podeń śnieżne błyskają ramiona,
W drobnój twarzy płoną oczy duże,
Ciemnym włosem główka opleciona,
A nad czołem kwitną — blade róże.
Wiosna z ust jój śmieje się korałem,
Wiosna uczuë w serduszkach się kryje,

Co dziewczeczce z pierwszym w życiu bale
Nowych wrażeń tętnem silniój bije.
Wczoraj jeszcze niby dziecko prawie,
Z warkoczami luźno spuszczone, —
Za motylem biegła po trawie,
Suknią nawet nie tykając ziemi.
Dziś ją modny strój balowy słoni,
W pukle włos jój poplątano gładki,
A w objętej rękawiczką dłoni,
Biały wachlarz trzyma zamiast siatki.
Z nowym strojem, nowych uczuć siła
Do niewinnój jój duszy zagląda.
Dziś w świat obcy jój dotąd wstąpiła —
Lęka go się a razem pożąda.
Bal i przepych nowym jój widokiem.
Gdzież go mogła poznać — wychowana
W cichym dworze, pod troskliwym okiem
Matki wdowy i księdza plebana?
Tam muzyką, chór ptasząt w ogrodzie,
Śpiew żniwiarzy, organy w kościele,
Głos fujarki o wieczornym chłodzie,
Lub dźwięk skrzypców na wiejskie wesele.
Tam za złoto starczył promień słońca,
W którym muszki kąpią skrzydła lotne;
Tam brylantem kropla rosy drżąca,
Cienką tkanką gazy, mgły wilgotne.

Tu świat inny! — dziwna jój ta zmiana;
Lecz dziwniejsze słowa, które płyną
Z ust rumianych pięknego młodziana,
Stojącego na ganku z dziewczeczną.

„Kocham ciebie, urocza!“ — powiada,
 Drobna rączkę ujmując w swe dłonie.
 Blask księżycy na twarz jego pada,
 W czarnych oczach żar namiętny płonie.
 „Czemu milczysz i patrzysz surowo,
 Gdy ci mówię że mým sercem rządysz?
 Może wątpisz? o piękna królowo!
 Miłość moja starszą jest niż sądzisz.
 Choć raz pierwszy widzę cię na jawie,
 W świecie marzeń oddawna cię znałem.
 Jam cię kochał już na szkolnej ławie,
 Tyś wcielonym snów mych ideałem!
 Za dni parę — moje powołanie
 Jechać każe mi w obce krainy.
 Nie usłyszysz na długie rozstanie
 Słów pociechy od lubej dziewczyny?
 Jam malarstwa poświęcił się sztuce,
 Chcę z niej czerpać u samego źródła,
 Jadę do Włoch. Ale gdy powrócę,
 Wtedy, luba! powiedz, będziesz moja?“ —

Dziewczę milczy. Nie chce słów młodzieńca
 Zbyć przeczeniem, a nie śmie nadzieją.
 Więc się płoni, aż blaskiem rumieńca
 Białe róże nad czołem kraśnieją.
 A on błaga: „Powiedz choć pół słowa,
 I ramieniem jój kibić oplata.
 Ona oczy pod eieniem rzęs chowa
 I „tak“ ciche z jój ustek ulata.
 Potém, rączkę podnosząc do skroni,
 Błądą róże z warkoczy wyrzywa
 I w młodzieńca składając ją dłoni,

W te się słowa do niego odzywa:
 „Weźmij, proszę, to pół naszych kwiece,
 Tam gdzie jedziesz, mój miły, niestety!
 Róż barwniejszych tysiące jest przecie,
 I piękniejsze odemnie kobiety.
 Jak te listki zaćmi blask purpury
 Centifolii kraszającej równianki;
 Tak przy wdziękach południowej córy
 Zgaśnie może postać twój kochanki.
 I zapomnisz.“ —

„Nie, mój ideale!“
 Woła młodzian, wznosząc wzrok ku górze
 I przysięgą, w miłosnym zapale,
 Wątpliwości chce zażegnać burzę.
 „Nie chcę przysięgi! ich święte ogniwo
 Już nie serce, ale honor pęta.
 Zostań wolnym; jam i tak szczęśliwą,
 A kto stały, bez przysięgi pamięta.“ —
 Młodzian dłoń jój uściśnął w milczeniu,
 Chwilę jeszcze coś cicho szeptali,
 Poczém wespół w słodkiem upojeniu,
 Do tanecznej powrócili sali.

II.

Był bal znowu. Jak przed sześciu laty,
 Księżyc tonąc w lazurówym łonie,
 Srebrzył drżące kapryfolum kwiaty,
 I znów dziewczę stało na balkonie.
 Taką samą ma sukienkę białą,
 I róż białych po nad czołem wieniec.

Lecz gdzie uśmiech? co z ust koral zwiąło?
 Gdzie blask oczu?... I.... gdzież jest młodzieniec?
 Czy nie wrócił? Czy pod włoskiem niebem
 Śpi snem wiecznym, zdala od rodziny?
 Czy artyści gorzkim żyjąc chlebem,
 Darmo sięga po sławy wawrzyny?
 O! przeciwnie! Czas mu przyniósł w darze
 Głośnie imię, sławę i majątek;
 Tylko w zamian, w upojenia gwarze,
 Dawnych marzeń potargał mu watek.
 Zatarł obraz uroczej dziewczeczki,
 Co mu całą oddała się duszą;
 Bładěj róży rozwał gdzieś listeczki —
 Zeschle kwiaty tak łatwo się kruszą.....

Lecz nie łatwém dla serca dziewczyny
 Zapomnienie, gdy raz szczérze kocha.
 Biada tylko, gdy te pierwociny
 Jój uczucia, dłoń zabierze płocha!
 Jak kwiat ścięty o porannej dobie,
 Krople rosy otrząsa z kielicha —
 Tak w miłości zawiedzionój grobie,
 Innych uczuć zdrój także wysycha.
 A ich miejsce zajmuje zwątpienie
 I klamanym zakwita uśmiechem.
 Tylko ulud dawniejszych wspomnienie
 W pustej piersi smutném jęczy echem.
 Przykro patrzeć gdy słońce zbyt żywo
 Płonąc, warzy nierozkwitłe kwiaty...
 Stokroć przykrzój, gdy marzeń przedziwo
 Niewysnute jeszcze, rwie się w szmaty!

.....

Dziewczę stoi... i okiem bez blasku
 Patrzy w przestrzeń gdzie wieś opleciona
 Ramionami sosnowego lasu
 Pod płaszcz nocy kryje się uśpiona.
 Gdzie na łąkach niby tanecznice
 Płasające, w swobodnej zabawie
 Świecą błędnych ogników źrenice,
 To się wznoszą, to pełzną po trawie.
 Na gałęziach drzew, znużone śpiewem,
 Śnią ptaszęta, kołysane zeicha
 Takim wonnym wietrzyka powiewem,
 Jakim tylko pierś wiosny oddycha.
 Rój motyli w powietrzu się wije
 Skrzydełkami muska brzeg balkonu
 Pociągnięty światłem, które bije
 Przez otwarte drzwi szklanne z salonu.

Ona duma... a może téż czeka
 Czy ją znowu głos luby nie zbudzi,
 Jak przed laty.... ale czas ucieka
 A wciąż pusto!... nadarmo się ludzi.
 O nadarmo! Dość jój zwrócić oczy
 Poza siebie na balową salę,
 Gdzie w téj chwili brzmi mazur ochoczy;
 Ale ona nie patrzy tam wcale.
 Bo tam siedzi pod krzewem cytryny
 Piękna panna, a przy niej schylony
 Stoi dawny kochanek dziewczyny
 A dziś, pięknej panny narzeczony.
 Narzeczona ta! to już nie dziecię
 Cichój wioski, co się trwożnie chowa

Poza matkę. — Ona w wielkim świecie
 Wychowana i balów królowa.
 Znać się żadnej rywalki nie boi
 Bo tak dumnie nosi piękną głowę
 Na łabędziej szyi, którą stroi
 Blaskiem tęczy kolije brylantowe,
 Taki uśmiech z jej ustek ulata
 I tak chłodno patrzy czarném okiem,
 Jakby holdy i poklaski świata
 Były dla niej zbyt zwykłym widokiem.
 I on także zda się przesycony
 Strawą pochlebstw; wyraz jego twarzy
 Jakiś smutny, a raczej znudzony,
 Już się dawny w nim ogień nie żarzy.
 O! nie takim on głosem przed laty
 Do swój pierwszej przemawiał kochanki,
 Gdy brał z rąk jej bladę różę kwiaty,
 Jakim teraz szepcze do hrabianki:
 „Na nas kolój daleka tańczenia,
 „A tu duszno tak w tej gwarniej sali;
 „Wyjdźmy, księżyc ziemie opromienia
 „Całe niebo gwiazdami się pali.
 „Czy się pani zgadzasz?”

„O z ochotą“

Rzecz panna w obojętnym tonie
 I, szal biały spiąwszy szpilką złotą,
 Z narzeczonym staje na balkonie.

Noc tak cudna! w takiej atmosferze
 Ich rozmowa czulszą będzie pewnie?
 Nie! on rączek jej białych nie bierze

Ona w oczy nie patrzy mu rzewnie.
 Bo i po co? oni się dla świata
 Nie dla siebie łączą u ołtarza,
 On majątek weźmie — a bogata
 Panna imię sławnego malarza!
 Próżność, pieniądz, — oto dwa ogniwa
 Co ich spoją, a miłość!? ach ona!
 Lat wiosennych idylla szczęśliwa;
 Już dla niego i dla niej prześniona!
 Już prześniona! Lecz czy zapomniana?
 Czy prąd wspomnień nie potrafi o nią?
 Czy ten balkon, i ta noc wiośniana
 Z mar przeszłości nie im nie odsłonią?
 Kto wie! oni milczą, jak milczeli;
 Panna oczy utkwiała w obłoku
 I nie widzi, jako postać w bieli
 Nieruchoma, rysuje się z boku.
 Lecz on spostrzegł — i lica mu bledną,
 Bo przy nocy niepewnym lazurze,
 Poznał dawną kochankę, tę biedną,
 Snów młodości, zwiędłą bladą różę.
 Ona zwiędła, — tylko kwiaty świeże
 Ma w warkoczach, i zielone liście,
 Z tych róż jedną, znowu teraz bierze,
 Ukazując ją zdala artyście.
 On zrozumiał tę skargę bez jęku,
 I rumieńcem nagłym twarz mu pała.
 Żal mu uczuć przebrzmiałego dźwięku,
 Wstyd, że zdradził tę, co mu ufała.
 Zda się, znowu chce wyciągnąć dłonie,
 Po tę różę; znów u stóp dziewczęcia

Dawny ogień chce zapalić w łonie,
Dawnych przysiąg ponowić zaklęcia.
Wtém hrabianka nie zwracając głowy
Mówi: „nas tam czekają w mazurze“
On się wzdrygnął — pryska ezar chwilowy
Dziewczę bladą upuściło różę.

WIECZÓR NAD MORSKIĘM OKIEM.

..... Poza mną, z naszego schroniska
Szmerzy słychać i płomień rubinowy błyska.
Ale ja go nie widzę i szmerów nie słyszę
Zapatrzona w tę ciemność, wsłuchana w tę ciszę,
Co mnie takim bezmiarem przestrzeni otacza,
Że o żadną skończoność wzrok mój nie zahacza.
Wiem tylko, że tam, kędyś, horyzontu stula
Niebo z ziemią obrączką wiecznych ślubów skula.
Ale mnie téj obrączki nie dojrzyć oczyma,
W górze... w dole... przedemną... nie, nie zgoła
niéma —

Tylko noc czarna, jakby światów tajemnica!
Taką w wieczornéj porze bywa ta żrenica
Którą Tatry, jak owe mytyczne cyklopy,
Patrzą od wieków w niebios lazururowe stropy.
Taką bywa, gdy księżyc mgłami osłonięty,
Nie zanurzy swéj srebrnéj głowy w jéj odmęty,
Gdy gwiazd gromada burzę przeczuwszy ucieka,
Gdy się nad nią chmur ciężka opuści powieka,

A mrok nadbrzeżne skały płaszczem swym odzieje
I niebo, wodę, góry w jedną masę zleje

O! kto w podobnej chwili stał nad Morskiem Okiem,
Kto się tym niewidzialnym upoił widokiem,
Ten zrozumiał zetknięcie dwóch ostateczności,
Pojął rozkosz nieczucia i wielkość nicości,
Pojął... ale nie każdy... bo na to potrzeba,
By ten ktoś był już syty ziemskich wrażeń chleba;
By, kusząc się o kruchą szczęścia odrobinę,
Zdobyl ją krwią serdeczną, odcierpiał jak winę
I utracił... a w krwawym unużony boju,
Nie już nie chciał od świata... nie, oprócz spokoju.

.....
Niech myśl, której nadzieja użyczyła skrzydeł,
Rwie się w przyszłość, zawodów nieświadoma siał —
Niech szuka pierś gorąca i żądna wesela
W świętojańską noc marzeń cudownego ziała,
Niech poeta się wspina po wawrzynu wianki,
Niech mędrzec pragnie prawdy, kochanek kochanki,
Lecz ty biedny wędrowcze — co z pragnień odarty
Obojętnie przebywasz życia szlak utarty —
Pójdź tutaj!... tutaj znajdziesz zagłębiony w cienie
Kwiat paproci dla smutnych, zwany: zapomnienie!
Kwiecie dziwny! tyś groszem niebieskiej jałmużny
Rzuconej litościwą Opatrzności dłonią
Tym, którym świat na zawsze ma pozostać dłużny
Za skarby uczuć, jakie wpośród niego trwonią.
Tobą stroi pustelnik wnętrze swojej celi,
Z ciebie wieńce pogrobne splatają anieli,
I czystym duchom kładą na promienne głowy,

Aby łatwiej rozpocząć mogły żywot nowy.
Ja teraz zrywam ciebie! Jak mi dobrze, błogo!
Gruntu ziemskiego, zda się, nie czuję pod nogą —
Ujęta w przepaściście ciemności ramiona,
Takam w nich strasznie drobna, taka zniszczona —
Tak mnie życie nie drażni swych wrażeń szelestem,
Że gotowabym prawie zapytać: czy jestem?

.....

W Tatrach 29 sierpnia 1880 r.

SZARA GODZINA.

Lubię cię zmierzchu mdła godzino,
Kiedy się zbliżasz zamyślona,
Snując twych mroków przedzę siną;
I gdy na szarém twém posłaniu,
Śniąc o jutrzejszém zmartwychwstaniu,
Biały dzień kona.

A wraz z nim świata pierś namiętna,
Wezbrana falą różnych zdarzeń,
Zwalnia szalone swoje tętna,
I ciszej w chwilę tę oddycha,
Pijąc niebiański czar, z kielicha
Tęczowych marzeń.

Lubię poglądać, gdy w przestrzeni
Ostatnie z sobą toczą boje
Hufce pół-światel i pół-cieni,
I kiedy ziemia, jak dziewczyna,
Zalotnie stroić się poczyną
W mgliste zawoje.

Szara godzina, to granica
Między królestwy dwóch jasności:
Jasnością słońca i księżyca —
Z których ta pierwsza tylko życiem,
A druga martwém jój odbiciem
W nieskończoności.

Życiu, jak słońce, młodość świeci,
Gorząc uczuć, żądz promieniem;
I w piersiach iskry złote nieci;
A gdy pogasną ich myryjady,
Wtedy powstaje księżyc blade,
Zwany wspomnieniem.

Och! słońce wrażeń często pali —
Och! księżyc wspomnień często ziębi,
Gdy się w przeszłości przejrzy fali,
I zmusi oczy, by patrzyły
Na wszystko, co już snem mogiły
Spoczywa w głębi.

Życie! za twoje walki, burze,
Za twe cierpienia i zawody,
Za puste czary, zwiędłe róże,
Za lzy w powszednim twoim chlebie,
Jedną ja tylko tu od ciebie
Żądam nagrody.

Spraw! niech raz duch mój spocznie w locie
I skrzydły nawet nie szeleszcze,
Niech ma zupełne bezrobocie,

I w zawieszeniu tajemniczym
Już nie nie pragnie i za niczym
Nie tęskni jeszcze!

Spraw! niech pierś moja, gdy wyśpiewa
Wszystkich swych tonów kawatinę,
Zmilknie, jak w ciszy nocnej drzewa
I nim ją zbudzą echa pieśni,
Niechaj spokojnie, błogo prześni;
Szara godzinę.

DO NOCY.

Nie — tyś nie dla mnie, o nocy majowa,
Ty serce młodzieńczych niańko rozmarzona —
Nie dla mnie szmerów twych pieszczona mowa,
Ni twoich cieniów błękitnawe łona —
Ni twe rozkwitłe, lekko drżące drzewa,
Ni gwiazd dyjadem na twój czystej skroni,
Ni blask księżycy, który się rozlewa
W bzów aromacie i jaśminów woni!
Cóż po was duszy, co jest jak strumienia
Wyschłe łożysko, w którym już nie trzeba
Szukać ochłody, ni odzwierciedlenia
Nadbrzeżnych krzewin, ni błękitów nieba...
Bo dno kamienne nie daje odbicia,
Bo pierś wystygła nie odczuwa życia!

.....

Wolę cię nocy jesienna... gdy chmurna,
Bezbarwną twarzą zawiśniesz nad światem.
Gdyś jest tajemnie jego głuchą urną,
A nie miłości srebrnym poematem.

Gdy wieher puste przebiega ogrody
I z chrzęstem suche drzew szkielety targa,
Gdy w każdym takim oddźwięku przyrody
Zda się rozbrzmiewać, dziwnie smutna skarga, —
Taką cię wolę... wtedy przed oczyma
Staje mi zbrodni i występków tłuszcza,
Którą w dzień bojaźń na łańcuchu trzyma,
A którą dłoń twa na wolność wypuszcza.
Widzę, jak wszystko brudne i nieczemne,
Wszystko co pełza, wszystko co się skrada
Opuszcza zwolna swoje nory ciemne
I biedną ludzkość jak mrówki obsiada.
A ona, wstrętnym tym rojem okryta,
Zatraca wszelkie cechy człowieczeństwa.
Cierpi... lecz cierpiąc drwi, bluźni i zgrzyta
I kała palmę własnego męczeństwa!
Myślę, jak strasznym w noc taką być musi
Głos nienawiści, zemsty i rozpacz, —
Do czego wtedy nędza błada kusi
Skoro dodaje: „Nikt cię nie zobaczy“
Myślę, co poczną ci wszysej o świetle,
Którym noc owa przepaść zguby grzebie?
I tak się uczę nienawidzić życie,
A tych co żyją żałować... jak siebie!

Z WOJNY GROTTGERA.

I.

PÓJDŹ ZE MNĄ W DOLINĘ ŁEZ.

Siadł — i chłodną dłoń przyłożył do skroni.
Cierpi bóle twórczej myśli poczęcia;
I sam nie wie, co się z niego wyłoni,
I sam nie wie, gdzie ma szukać zakłęcia
Dla swych widzeń, by nim w kształt je ubierze
Nie rozwiały się bez śladu w eterze.

Czuje tylko, że mu piersi przygniata
Ciężar smutku i goryczy nieznosny,
Że go dziwny wstręt ogarnął do świata,
A zarazem taki poryw litośny,
Jak dla wielkich mąk wielkiego zbrodniarza,
Co swym czynem i swą karą przeraża.

Gdzież on znajdzie dość ponure obrazy
Coby grozę jego uczuć odbiły?

Myśl je stwarza, na artysty rozkazy
Lecz im brak téj prawdy życia, téj siły,
Jakich pragnie roztesknioną swą duszą
I zgaduje, że gdzieś przecież być muszą.

Wtém izdebkę blask niezwykle rozświeca...
W mglistych szatach, na błękitnym obłoku
Spływa postać, eteryczna, kobieca...
Ma pogodę zaświatową we wzroku,
A nad włosów jéj falistych uplotem
Gienijusza gwiazda światłem lśni złotem.

Przystanąła — stopą ziemi dotyka
I wyciąga obie dłonie przejrzyste;
Głosem cudnym jak niebiańska muzyka
Rozbudzając z chmurnych marzeń artystę —
„Jestem“ — szepce — „nie wołałeś daremno
„Wstań! i w smętną leż dolinę pójdź ze mną!“

II.

ZŁY ZNAK.

Błogosławioną bądź wiejska zagroda!
Że polem pracy twój ojczysta gleba,
Że twa pomyślność nie jest cudzą szkoda
A smutek idzie jak i radość z nieba
Nie zaś od ludzi. Ciebie wrzawa świata
Nie niepokoi ani téż nie nęci;
Twoją ambicyją niwa w plon bogata,
Twém upojeniem zapach sianozęci,
A ideałem twym, ta miłość prosta,
Z której w romansach pociechy niewiele —
Ale zaiste — licznym burzom sprosta
Ten dom, gdzie ona gniazdo swe uściele...

.....
.....
Wieczór już zapadł, letni, wonny, cichy
Na polach sennie pokładły się cienie;
W ogrodzie kwiaty zwinęły kielichy,
Dzwon na anielskie wzywa pozdrowienie,

A pod zielonym dachem starój gruszy
Jęj rówieśnica, babka pochylona,
Siadła z synową pogadać od duszy,
Wnuczę — pieszczocha ująwszy w ramiona.
O dniu przebyłym gwarzą sobie zeicha
Myślą o jutrze żadna się nie trwoży;
Szczęściem twarz młodej niewiasty oddycha,
Na czole starszej spokój osiadł boży.
Za niemi dwoje... ona na ramieniu
Wsparła mu główkę... spuściwszy powieki;
On dłoń jęj do ust tuli w upojeniu.
Łatwo odgadnąć... że wkrótce na wieki
Wspólność swych losów poprzysięgną Bogu,
Że wszystko sprzyja... nie się nie przeciwi
A oni stoją u rajskości progu
Samém czekaniem na szczęście — szczęśliwi.

„Pocoś mnie tutaj przywiodła o boska?“
Artysta cicho przewodniczki pyta.
„Idźmy tam raczej gdzie króluje troska,
„Gdzie ból szaleje i gdzie rozpacz zgrzyta,
„Gdzie leż dolina... tam gdzieś mi przyrzekła!
„Duszy mój innych obrazów potrzeba
„Beatryks moja! zstąp zemną do piekła
„Bom ja niegodzien iść z tobą do nieba.“
Ona się tylko uśmiechnęła smutno
I rękę zwolna podniosła ku górze.
Wtém chłopcę z miną ciekawą i butną
Utkwiło oczki w gwiaździstym lazurze
Wołając: „Babciu, patrzaj, co tam świeci?“
Spojrzała babka i młoda kobieta...

I narzeczeni za krzewem róż skryci —
I wszyscy razem szepnęli: „kometa!“
„Patrz“ rzecze gienijusz „patrz jak jedna chwila
„Jasny ten obraz w ponury przemienia
„Anioł spokoju ma skrzydła motyla —
„Aby go spłoszyć dość czasem wejrzenia.
„A wiesz dlaczego ta staruszka siwa
„Zmarszczone ręce do modlitwy składa?
„Czemu ta matka twarz w dłoniach ukrywa?
„Czemu łzę rosi ta kochanka błada?
„Czemu ten młodzian chyli czoło mroczne?
„Oto im w serca, jako wąż się wkradło
„Na ludzką ufność i szczęście żarłoczne
„A westchnieniami żyjące widziadło,
„Co w cichłej piersi trwożne budzi drżenie,
„I jękiem straszy w wesołości nucie. —
„Pójdź dalej... lecz nim klęsk ujrzysz ziszczenie
„Spójrz, jak ich herold wygląda... przeczucie.“

MŁODEMU POECIE.

Nie patrz, nie patrz poza siebie,
Przestąp wspomnień próg,
Na przyszłości twojej niebie,
Nowych szukaj dróg.

Wyrzuć z dłoni zwiędłe kwiaty,
Dłoniom będzie lżej,
I nie żałuj takiej straty,
Ale świeże rwij.

Niech się nowa miłość święci,
Starój pogrzeb spraw,
W katakumby niepamięci
Jój trumienkę wstaw.

Gierpień ślad już zadawniony,
Jak kurz z serea strzep,
Gdy żaloby czas skończony,
Nie noś czarnych krep.

Dąż do świata, dąż do ludzi,
Cmentarzyska rzuć,
Zmarłych pieśń twa nie obudzi,
Żywym lepiej nuć.

Lecz niech lira nie powtarza
Już przebrzmiałych ech;
Powtarzanie u pieśniarza,
To śmiertelny grzech.

Na tych strunach nie kładź ręki,
Z których mistrzów gra
Wydobyła wszystkie dźwięki,
Ich pieśń wiecznie trwa.

Przypominać jój nie trzeba,
Bo wpadłszy do dusz,
Jako święta iskra z nieba,
Nie wygaśnie już.

A ty z wiarą i otuchą
Spiesz po nowy plon,
W teraźniejszość wsłuchaj ucho,
Do niej dobierz ton.

Śpiewaj hymny wytrwałości,
Sław myśl, wolę, czyn,
Jeśliś dobry brat ludzkości
I poezyi syn.

Zwiewaj zwątpień pomrok mglisty,
Nić nadziei snuj!
Bo poezya, to wieczysty
Odrodzenia zdroj.

Wielu pragnie się pogрузić
W tę cudowną toń,
Będą szukać, będą krażyć
I nie trafią doń.

Lecz gdy kogo gienijusz w bieli
Sam w te nurty pehnie,
Temu starcem z téj kąpieli
Wyjść nie wolno — nie!

ZWIĘDŁY LIŚĆ.

Dzisiaj w ogrodzie — usiadłam pod drzewem,
Wtém wiatr, co piosnkę swą jesienną nucił,
Musnął mi czoło chłodniejszym powiewem,
I liść uwiedły na piersi mi rzucił.
A liść się w fałdy uwikłał odzienia,
Pozółkły, krwawo poznaczony, zmięty,
Drżał przy mém sercu, jak sztandar zwątpienia,
Ponad samotną ruiną zatknięty.

O! serce! skoro to złowrogie znamie
Padło na ciebie — ty nie milez strwożone.
Ozwij się! powiedz śmiało: ono kłamie!
Wszak masz młodości głos na twą obronę?
Wszak ludzie mówią, że ten głos przygłuszy
Nawet zawodu jęk i krzyk rozpaczny!
Że póki on nam jeszcze śpiewa w duszy,
Póty nie wiemy, co to cierpieć znaczy.
Wszak ludzie tylko w gorycz tych łez wierzą
Co po zmarszczonej wiekiem płyną twarzy;
Tych skarg słuchają tylko, które szerzą
Wybladłe usta starców i nędzarzy.

Młodość?... szczęśliwa! Cóż żąd, że nią miota
Dojrzałym latom nieznana żądz walka,
Że nad nią gwiazdą bladą łśni: tęsknota,
Że świętych ogni strzegąc jak Westalka,
Sama się często własnym żarem stawia,
Że w tytanicznych uniesień oblędzie,
Sama się gubiąc nikogo nie zbawia,
Że tyle pragnie — a nie nie posiedzie,
Że w ciasnym bytu codziennego kole,
Przestrzeni łaknąc do lotu się zrywa,
A los ją trzyma za skrzydła sokole.
To nie — świat zawsze powtarza: szczęśliwa!

Więc, serce moje — ciesz się! jesteś młode,
W ten dzień jesienny pochwal się twą wiosną,
Chmurnym obłokom ukaż twą pogodę,
I przerwij, śmiechem, pieśń wiatru żalosną.
Mileczysz?... a zwiędły liść przylgnął do ciebie,
Z suchym szelestem lekko się kołysze —
A mnie tak smutno, jakby na pogrzebie,
Bo odpowiedzi, wiem, że nie usłyszę.

L Z A.

Lzo! Kleopatry perło roztopiona
W uczuć pucharze!
Ożyweza roso wezbranego łona,
Co skrapiasz twarze!
Ludzkość cię z żadnym stworzeniem nie dzieli,
Tyś jest klejnotem!
Raz tylko błyskasz w źrenicach gazeli,
Trafionój grotem!
Tyś jest milezącą, świętą mową duszy
Całego świata!
Przez cię syn lodów w synu pustyń suszy
Poznaje brata.
Błogosławionaś! gdy wytryskasz z oka
W nieszczęść godzinie.
Kiedy się boleść, twarda jak opoka,
W tobie rozplynie.
Cześć ci, gdy błysniesz kroplą promienistą
W chwili zapału.
Gdy stwierdzasz miłość gorącą a czystą
Dla ideału.

Pokój ci! kiedy płyniesz ze źrenicy
Cichym strumieniem
Gdyś jest wyrazem skargi i tęsknicy
Lub rozmarzeniem.
A przebaczenie tobie! gdy cię zrodzi
Rozpaczność dzika.
Gdy spadniesz w zwątpień i szalów powodzi
Z lic bezbożnika.
Lecz hańba tobie! gdy świecisz ukradkiem,
Jak wąż wśród liści,
Gdy samój sobie wstydzisz się być świadkiem,
Gdyś łżą zawiści!

DO MOJÉJ MYŚLI.



myśli moja! Gdyby mi dozwolono
Zmienić w co ciebie!
Mogłabyś gwiazdką zajaśnić roziskrzoną
Na czystém niebie —
I blasków twoich złociste ślać promienie
W tę ziemi stronę,
Kędy oddawna najgrubsze leżą cienie
Zewsząd wzgardzone...
I cieniom owym wieściłabyś do rana
Jasność słoneczną,
Ażbyś w jutrzence skoła, przekonana
Żeś użyteczną!...

Albobyś różą zakwitła, czarującą
Barwą i wonią
By w dzień wiosenny zerwaną zostać drzącą
Kochanka dłonią...
Dostałabyś cię dziewczeczka zapłoniona,
Cudo piękności,

I do białego przypięłaby cię łona
W znak wzajemności...
Wtedy oboje poszliby w ten kraj złudy,
Gdzie ich los spłoszy...
Tybyś uwiedła — lecz dawszy dwojgu wpr
Chwilę rozkoszy!...

Mogłabyś spłynąć łzą ulgi z pod powieki,
Co już nie płacze, .
Lub echem zanieść głos bratni a daleki
W ziemie tułacze!
Albo w poświęceń zabłysłaś koronie
Krwawym rubinem...
Lecz na to trzeba, byś, zamiast rwać mi skronie,
Stała się czynem!...
Niestety!... Skrzydła w spętaniu niewolniczym
Zbezładnić muszą...
Przeto dla świata ty zawsze będziesz niczym,
Dla mnie — katuszą!...

Z BALOWYCH SCEN.

Dźwięczy muzyka, moc światel płonie,
Słychać szmer rozmów i szelest szat;
Falują piersi, wiążą się dłonie,
Miga frak czarny przy białém łonie,
Tu sztuczny uśmiech — tam sztuczny kwiat.

To bal. Na boku drżąca, nieśmiała,
Siedzi dziewczeczka, piękności cud;
Kibić jęj suknia opływa biała,
W spojrzeniu uczuć ranny blask pała, —
Jeszcze go świata nie zmroził chłód.

W rysach ma duszy niewinnęj piętno:
Znać z czoła, że go ślad życia burz
Nie powlókł jeszcze swą barwą smętną,
I znać, że jeszcze żądzą namiętną
Nie drgnęły nigdy jęj usta z róż.

Naprost nięj stoi, o filar wsparty,
Mężczyzna, młody ilością lat,

Lecz z serca jego maj dawno starty,
I wyrzucony z życiowej karty
Świątych i czystych porywów kwiat.

Ztąd też zapadłe jego źrenice
Przygasza zwątpień grobowy kir.
Szydnym uśmiechem wykrzywił lice,
I obojętnie na tanecznicę
I na balowy pogląda wir.

Wtém wzrok obrócił w stronę dziewczęcia.
I... cóż to? blednie — cofa się, drżąc...
Czegoż objawem te dziwne drgnięcia?
Czy szlachetniejszych uczuć poczęcia?
Czy skry ostatniej wystygłych żądz?

Czyżby w zamglonej duszy, w mdlém ciecie,
Promień z sfer wyższych zabłysnąć miał?
Czy ziemski ogień roztlął w popiele?...
Toż młodych, pięknych, znał już tak wiele...
Tak!... lecz niewinnych zbyt mało znał!

Komuż kontrastów obca potęga?
Ta niewidzialna dla oczu sieć,
Co słabość z siłą, chłód z żarem sprzęga,
Spada najniżej, najwyżej sięga...
Tu woła: „zestap!“ tam woła: „wzleć!“

Tą siłą pchnięty, on dąży do niej,
Prosi do tańca — i oto już
Jój białą rączkę trzyma w swój dłoni,

Ramieniem swoim kibić jój słoni,
I czuje bicie jój serca tuż.

O konwenanse! wy się wzdrygacie,
Gdy kochający kochaną swą,
Czcząc ją w dziewiczym jój majestacie,
W uczuć wzajemnych słodkiej odpłacie,
Do serca z cichą przytuli lżą.

Ale na balu... Każdy ma prawo
W brudnym objęciu mieć czysty kwiat,
Śmieć go własnego próchna kurzawą,
To... przyzwoitą zwie się zabawą,
I na to zgoła nie sarka świat.

.....
W sali brzmia walców namiętne tony,
Lejąc dokoła swój zdradny czar;
„Strzeż się dziewczyno!“ — głos mój spóźniony!
On już ją swemi oplótł ramiony,
I uniósł w koło tańczących par.

Znikli mi z oczu... Duch mój się budzi...
I w mglistą przyszłość zatapiam wzrok.
Co ze zbliżenia tych dwojga ludzi
Wyjść może? On-li blask jój zabrudzi,
Czy ona jego rozjaśni mrok?

NAD STRUMIENIEM.

Jak tu cicho w téj dolinie!
Ten sam strumień zawsze płynie
Wśród tych samych drzew;
Gęstsza tylko ich korona,
I kaliny większe grona,
Czerwone jak krew.

Ot! też sama niby trawa
Chłodem wody się napawa,
I zieloną skroń,
Pod ciężarem rosy z rana,
Chyli, patrząc zadumana
W przezroczystą toń.

I ja spojrzę. W tym kryształe
Widywałem niegdyś stale
Obraz cudnych lic:
Oczy modre jak bławaty,
Złote włosy — a w nich kwiaty —
Dziś nie widzę nic.

Trawko, trawko, tyś szczęśliwa,
Wkoło ciebie nie nie zbywa,
Wszystko jest jak wprzód.
Widzisz zawsze te błękity,
Wieniec z liści w górze zwity
I zwierciadło wód.

A choć ostry wiatr jesieni
Twą zieloną barwę zmieni,
Choć cię śnieżny puch
Pod całunem swym zagrzebie,
To, gdy słońko błysnie, w ciebie
Nowy wstąpi duch.

I powstaniesz orzeźwiona;
Wiosna weźmie cię w ramiona,
Nowy da ci strój,
I tchnie ciepłem wkrąg dopóty,
Aż z lodowej kry rozkuty
Znów popłynie zdroj.

Czemuż cudnych mar obrazy
Los powtórzyć choć dwa razy
Nie pozwala nam?
Czemuż niegdyś w to ustronie
Mnie kochanki wiodły dłonie,
A dziś... wracam sam?

Ot! ten kamień, teraz pusty!
Dotknę się go memi usty
I pozdrowię rad.

Powiedz, starcze tój doliny!
Czyś zachował mój dziewczyny
Drobnych stopek ślad?

Często ona dla zabawy,
Lub się mokrój chroniąc trawy
Wskakiwała nań;
A jam klęczał, i w zachwycie
Zpoza rzęs rzuconą skrycie
Brałem spojrzeń dań.

Och! bo była taka skryta!
A przezemnie tak owita
W ideału czar,
Żem pieszczone słów jój tony
Brał za serca głos. — Szalony!
Brałem lód za żar.

Dziś wiem prawdę; lecz cóż z tego?
Ona serca złamanego
Nie naprawi, nie!
I nie wskrzesi iskry złotój,
I nie stłumi mój tęsknoty
Po tym cudnym śnie!

O! zaprawdę, skoro w duszy
Idealy czas pokruszy,
Starga marzeń nić,
Czystych uczuć szatę zbrudzi,
I z zapалу pierś ostudzi,
Wtedy ... trudno żyć.

Wtedy lepiej, stokroć lepiej
Gdy się serce tak zasklepi,
Że mu można rzec:
„Stań się głazem!“ lub samemu
Módz się oddać snu wiecznemu
I pod głazem leż.

IMPROMPTU.

Rozchmurz czoło, smutne dziewczę,
Białą rączkę daj;
Pójdziem sobie, het, przez błonia,
Gdzie się śmieje maj.

* * *

Pójdziem, niby kochankowie,
Choć — jak dobrze wiesz, —
Ja cię nigdy nie kochałem
Ani ty mnie też.

* * *

Ale znamy się oboje
Od tak dawnych lat,
Kiedy jeszcześmy nie mieli
Płakać żadnych strat.

* * *

Gdy z nas żadne nie wiedziało,
Że w swém sercu ma

Strunę wspomnień, która teraz
Tak boleśnie drga!

* * *

Tyś lubiła w jasne włosy
Wplatać polny mak,
Śmiać się, śpiewać... dziś już nigdy
Nie śmiesz się tak.

* * *

A jam lubił myślał zwiedzać
Mój przyszłości szlak.
Marzyć, bujać... dziś już nigdy
Nie wędruję tak.

* * *

Żal pomyśleć, że się dla nas
Już nie znajdzie lek,
Że przeżyliśmy godziny
Dłuższe niżli wiek.

* * *

Żal, że tyle jest za nami
A przed nami — nic.
Że serc zimie się uraga
Młodość naszych lic.

* * *

I nie będzie nam liczona
W niebie żadna łza —

Bo cierpieliśmy wyłącznie
Dla własnego ja.

* * *

Tak więc... Bóg nas nie nadgrodzi,
Świat... wyszydzi w głos;
Marnotrawców i bankrutów
Taki bywa los.

* * *

Łudźmy przeto sami siebie
My, podobni już
Do tych starców, co swe zmarszczki
Kryją wieńcem róż.

* * *

Teraz wiosna... świat nadzieją
I miłością tehnje.
Niechże nam się chociaż zdaje
Że kochamy się!

* * *

A więc, dziewczę, rozechmurz czoło,
Białą rączkę daj...
Pozór szczęścia.... to jedyny
Nam dostępny raj!

K T O ?

I.

Kto tobie ptaku
Wolny mój
Na niebios szlaku
Powie stój?

Kto ci rozkaże
Pośród drzew
W wiosennym gwarze
Stłumić śpiew?

Kto ci zabroni
Drzących piór
Umaczać w toni
Srebrnych chmur?

Kto takich zwycięstw
Zbierze plon?
Ach! jeden tylko
Jeden zgon!

II.

Gdzie tutaj, serce
Wolne me,
Znajdą wydziercę
Skarby twe?

Kto twojej wierze
Wskaże kres?
Kto ci odbierze
Rosą lez?

Kto z twą nadzieją
Wygra bój?
Kto twój miłości
Zamknie źródło?

Kto ci przeszkodzi
Żądać drzéć?
Na marzeń łodzi
Płynąć, śnić?

Kto tym tyranem
Będzie wraz?
Ach! nad kurhanem
Zimny głaz!

III.

Kto tobie duchu
Wolny mój,

W wieczystym ruchu
Powie: „stój?”

Kto tobie każe:
„Tędy leć!”
Na twą swobodę
Znajdzie sieć?

Kto ci przeszkodzi
Pokłon nieść
By ideałom
Oddać cześć?

Kto przekonaniu
Twemu wbrew
Rozdmucha w tobie
Zapał, gniew?

Kto zmusi: „temu
Przecz, to twierdź!”
Ach! nikt na świecie,
Nawet śmierć.

URYWKI WIOSENNE.

I.



t, w dorocznym swym obchodzie,
Na zimy cmentarze
Idzie wiosna, i przyrodzie
Zmartwychwstawać każe.

Idzie, idzie ta wrogini,
Śmierci i starości,
Niepojęte cuda czyni
Gdzie tylko zagości.

Drze na szmaty chłodne szaty,
Kryjące pierś ziemi,
Które tkala zima biała,
Igły lodowemi.

Lekką stopą się przesuwa
Wśród nagich gałęzi,

I pąkowie ich rozkuwa
Ze szronu uwięzi.

Lecz każdy krzak, zraniony
Oстрыm mrozu zębkiem,
Stroi łąki i zagony
Zieloności rąbkami.

I do świata się uśmiecha
W majowej koronie,
I rozbudza szumy, echa,
Blaski, ciepło, wonie...

Ale, proszę, bądź ostrożna
Ty posłanko nieba!
Bo nie wszystko budzić można,
I nie wszystko trzeba.

Och! są rany, są kurhany,
Które raz zamknięte,
Już tak winny trwać bez zmiany
Jak relikwie święte....

II.

Cudna wiosno wskrzesicielko!
Weźże mnie w swą pieczę.
Niechże pozna twą moc wielką
I serce człowiecze.

Ty, co lasy i dąbrowy,
Których łono drzewie,
Uczysz znów szumiącej mowy
Zapomnianej w zimie.

Co jednoczysz ród skrzydlaty
W te co dawniej chory,
I na łąkach uczysz kwiaty
Tkać też same wzory.

Co bocianom przypominasz
Do ojczyzny szlaki,
I strumieni bieg wyginasz
W też same zygzaki.

Co motyle, gdy zapomną,
Uczysz jak całować,
Białą liliją jak być skromną,
Różę, jak królować,

Wodę, jak odbijać wiernie
Modry namiot nieba,
Ach... i nawet uczysz ciernie
Jak to kłuć potrzeba!

Co odwieczną pieśń natury
Powtarzasz w traw chrzęście
Naucz-że mnie, jak raz wtóry
Czuć minione szczęście.

III.

Zapiał kogut krasnopióry,
A nad jego głową
Świt zbudzony jał lazury
Malować różowo.

I pośpieszał z tą robotą,
Bo przez różne gońce
Wiedział, że już łódką złotą
Mknie ze wschodu słońce.

Gońcem był mu ptaszek szary,
Co pieśń nieuczoną
Niósł wzlatując nad moczary,
W senne lasów łono.

Gońcem była mu mgły wstęga,
Co swe lekkie brzemię
Pozbierawszy z widnokreśła,
Znosiła na ziemię.

I mrugnęło złotą rzęsą
Słońce na błękiecie.
Drzewa z wolna głowy trzęsą,
Dzień rozpoczął życie.

Leci smętna pieśń skowronka
Coraz wyżej, wyżej,

I opada mgły koronka
Coraz niżej, niżej.

Wraz z skowronkiem mącą eiszę
Innych ptasząt głosy,
Mgła na łąkach się kołysze
Brylantami rosy.

Ponad stawy, wietrzyk ciepły
Bieży, trąca fale,
Ale fale nocą skrzepły,
Nie chcą płasnąć weale.

Wiatr się dąsa, chowa w trzcinie
I tam gniewny szlocha,
Więc mu słońce w pomoc płynie
I koi pieszczocha.

Rzuca w chłodną głąb przezroczy
Jasne żaru wstęgi,
A rozgrzana fala toczy
Karbowane kręgi.

Ale wietrzyk wciąż się gniewa
Na niegrzeczne stawy
I ucieka między drzewa
Szukać tam zabawy.

Strząsa z liści krople rosy,
Wierzbie się użali,

Muska brzoźki długie włosy
I znów pędzi dalej.

Aż zawadził o sztachety
I w ogródek skoczy,
Między wonne bzów bukiety,
Modre bratków oczy.

Śmieją mu się w tym ogródku
Różne kwiatki wkoło,
Jedna tylko róża w smutku
Chyli krasne czoło.

Łzami rosy skrapia lica,
Nie cieszy jój ranek;
Biednaż bo z niej samotnica
Rzucił ją kochanek!

Świt go spłoszył właśnie w chwili,
Gdy śpiewał najczuliej,
Kiedyż znowu jój zakwili?
Do snu ją utuli?

Zobaczyło smutną różę
Słońce złotowłose,
Dąży ku niej po lazurze
Pić z jój listków rosę.

Kapie ją w swym złotym blasku,
Cie płem się przymila,

Na promyka złotym pasku
Wiedzie jęj motyla.

Motyl wprowadzie nad kochaną
Piosnki nie wydźwięczy,
Lecz ma postać malowaną
Kolorami tęczy.

Róża płonie jak dziewczyna,
Wonną pierś odmyka,
Dla motyla zapomina
Kochanka słowika.

IV.

Szczególny popyt u poetów rzeszy
Ma temat „wiosna“ — każdy z nich jest gotów
Wyrazić rymem, jak wielce się cieszy
Z téj czarodziejki rokrocznych powrotów,
I na swój sposób każdy z nich opiewa
Jak to jest pięknie — gdy w liści koronę
Znów się ustroją obumarłe drzewa,
Gdy strumyk w szmery uderzy pieszczone,
Gdy się wesoła ozwie ptasząt wrzawa,
Gdy bzy zakwitną, słońce zajaśnieje,
Gdy, krótko mówiąc, wszystko zmartwychwstawa:
W przyrodzie życie — a w ludziach nadzieje.

Ale są tacy, co tę radość klóć
I wnet wyliczać smętnie zaczynają
Nie takie rzeczy, co się z wiosną wróć,
Lecz właśnie takie, co się nie wracają,
Twierdzą albowiem, że jeżeli zawsze
Ciężko jest myśleć o straconym raju,
To te wspomnienie staje się najkrwawsze,
Gdy się odezwie w kwietniu albo w maju.

Wiosna rozmarza, wiosna roztesknaca.
Wiosną wrą w sercu erotyczne zdroje,
Wiosną samotność dziwnie nie popłaca,
Pragnie się dumać, śnić, kochać — we dwoje!
A jeśli losów zawistnych katusze
Nie dadzą ustom pić z téj szczęścia czary —
To na pociechę poetyczne dusze
Rymy przynajmniej kojarzą... do pary.
Ztąd po redakcyjach wiele jest kłopotu
I w „Odpowiedziach“ wciąż się czytać zdarzy:
„Panom i paniom X., Y., Z. do zwrotu
Wiersze: „Wiośnianki,“ „Z wiosennych miraży“
„Kwietniowy ranek“ albo „Noc majowa,“
„Powrót bocianów“ lub „Do modréj fali,“
„Pierwszy fijołek,“ Pamiętna dąbrowa,“
„Wiosenne szmery,“ „Wiosna“ i tam dalej...

O czytelnicy! i mnie wiosna nęci,
I ja też w duszy mam wiosenne smutki,
I jabym mogła, przy wytrwałej chęci,
Zrymować z niemi, jakie niezabudki.

Lecz Feb (bogowie bywają okrutni)
Taką mi w gniewie naznaczył pokutę
Za liczne winy, bym już mojej lutni
Nie nastrajała na „wiosenną nutę.“

NA STRUNIE SERCA.

I.

Miłość porusza świat,
Wiecznością jej granice,
I zna najmniejszy kwiat
Tę wielką tajemnicę.

Gwiazdy w błękitną dal
Miłosne ślą spojrzenia,
I sypie iskry stal
Z miłości dla krzemienia.

W różane sieci swe
Miłość wciąż zgarnia połów,
Z tryumfem wznosi się
Feniksem z nad popiołów.

Ma najliczniejszy dwór
Z wszystkich monarchiów świata,
Natury całej chór
Do tronu jej ulata.

Wyjątkiem tylko są
Niektóre serca z głazu

Co żyją, pieśnią tą
Nie drgnąwszy ani razu.

II.

Długo życie dla mnie było
Przędzą szarą;
I nie zwałam go nagrodą
Ani karą.

* * *

Lecz raz szczęścia promień plochy
Błysł nademną
I zgasł... a mnie odtąd w życiu
Ciagle ciemno.

III.

Kochaliśmy się... ach któż nie wie
Co to jest miłość, rajskie słowo,
Gdy na zieloném życia drzewie
Zakwitnie różą purpurową.

* * *

Rozstaliśmy się... ach któż nie wie
Czém jest rozłąka, straszne słowo,
Kiedy w milknącym szczęścia śpiewie
Ozwie się nutą pogrzebową.

INTERMEZZO.

I.

Dnie za dniami szybko lecą
W nieskończoną dal;
Już się kończy intermezzo
Czyli ci go żal?

Jego trwanie — jedna chwila
Moc — pajęczy len
Dłuższym bywa wiek motyla
I skowronka sen,

Dłużej rosa w letni ranek
Lśni opalów lza
Dłużej róż zerwanych wianek
Chowa barwę swą,

Dłużej owe iskry świecą
Które krzesze stal;
Niż trwać będzie intermezzo
Czyli ci go żal?

II.

Dnie za dniami szybko lecą
W nieskończoną dal;
Już minęło intermezzo
Czyli go ci żal?

Snów i marzeń pierzchoło wiele
Jak motyli rój,
Wiele iskier już w popiele
Blask straciło swój

Uczuć czystych jak lilije
Zniknął także ślad.
Serce inną rozkosz pije
A z nią inny jad!

Idealnej, srebrnej przędzy
Zerwała się nić
Miłość z wyżyn zestąpiła
By na ziemi żyć.

Purpurową pragnień wstęgą
Przepasała skroń
I namiętném uściśnieniem
Splotła z dłonią dłoni.

Teraz ona już nie chodzi
Wśród niebieskich mar

Rzadko łza jój oko chłodzi
W którém plonie żar.

A mnie tak się zegnać trudno
Z tém co przeszło już ...
Z tą kochania jutrznią cudną
Najpiękniejszą z zórz.

Więc wspomnienie! nie tęczową
Próbuj dalej snuć
Intermezza wiosnę ową
Na chwilę mi wróć!

Kołysz że się serce moje
Do dawniejszych snów
Kapryfolum patrz! swe zwoje
Rozpościera znów.

I narcyzów mleczne oczy
Błyszcza pośród traw;
Smaragdowe kręgi toczy
Nasz pamiętny staw.

Wnet robaczek świętojański
Zatli lampkę swą
Czemuż mi to oko zaszło
Tak gorącą łzą?

Wszystko, wszystko przypomina
Czar minionych dni

I tęsknoty cieni w mém sercu
Coraz głębiej tkwi.

Ty!... nie pytaj się mnie czemu
Na mém czole cień;
Lecz mnie kochaj po dawnemu
Choć przez jeden dzień.

JESIENNA ZWROTKA.

Wojem sercu i w naturze
Martwota.
Przeszło lato — zwiędłe róże
Wiatr miota.
I ponurą jak grób pieśnią
Zawodzi.
Co pod śmierci legło pleśnią
Nie wschodzi.
Młodość tylko raz swe dary
Wyplaca —
Sen miłości, szczęścia, wiary
Nie wraca.
Kto go przeżył, niech z pogrzebem
Nie zwleka —
Nie pod ziemskim go już niebem
Nie czeka.
Lepiej stokroć mu w mogile
Spoczywać.

Niż daremnie złote chwile
Przyzywać.
Lepiej szatę swą godową
Wziąć z sobą
Niż się codzien witać z nową
Żalobą.

DO . . .

Ja ci się przyznam, że wierzyłam chwilę
W błysnięcie gwiazdy na pochmurném niebie,
W przetrwanie śladów na ruchomym pyle,
W obfitość kwiatów na skalistój glebie.

Wierzyłam różom, że nigdy nie zbledną,
Wierzyłam lilijom, że ich nie nie skała,
Och! bo ja miałam wiarę w tę rzecz jedną,
Która we wszystko uwierzyć pozwala.

Ja ci się przyznam, że mi nagle potém
Tęczowa bańka prysnęła bez śladu,
I wtedy śnieg mi zdał się czarném błotem,
Światłość ciemnością, słodycz kroplą jadu,

Śmiech ostrym zgrzytem, rzeczywistość cieniem,
Maskami fałszu bliźnich moich twarze.
Och! bom się z takim spotkała zwątpieniem,
Które o wszystkiem powątpiewać każe.

A teraz jestem między dniem i nocą,
Z bezwzględnościami zerwałam przymierze,
Dwa sprzeczne prądy duszą mą chybocą,
Chcę wierzyć wąpię, a chcąc wąpić wierzę!

Dziwny, nieprawdaż, fenomen i rzadki?
Sam pewno pojąć go nie jesteś w stanie;
Słuchaj! jak w sercu mam słowo zagadki,
Ale to słowo — przy mnie pozostanie.

MÓJ WALC.

We włosach kwiaty, na piersiach kwiaty,
A co tam w sercu — nie patrzę, nie!
Dziś zdjęłam wspomnień żałobne szaty,
Dziś o mém sercu zapomnieć chcę!

Zapomnieć o tém, co przebolełam,
Co moją przyszłość ubrało w kir;
Tak chcę, tak będzie! Już zapomniałam,
Już mnie balowy ogarnął wir....

O!.. grają walca... Znajome dźwięki....
Może się mylę, nie! — to ten sam...
W nim on raz pierwszy dotknął méj ręki —
Dziś — on w mogile... ja tańczyć mam?

Ha! będę tańczyć... będę... w téj chwili!
Już mnie zamówić przyszedł pan A* —
Wonną fryzurę przedemną chyli
I pyta grzecznie: Na ile pas?

Na trzy... ach, prawda! przeszła ta moda,
Dzisiaj wiedeński wale trzyma prym —
Mniej mężczy — mówią — a jednak szkoda!
Walea na trzy pas tańczyłam z nim.

Lecz to tak dawno! Na scenie świata
Trzeba przywyknąć do ciągłych zmian....
Ileż ich zaszło przez te trzy lata?
Myśli!... zastygłych nie krwaw mi ran!
.....

Jak mnie ten taniec dziwnie upaja!
Czuję, że znika bladeść mych lic;
Tancerz mój szybkość obrotów zdwaja —
Zamęt mam w głowie — nie widzę nic!

Nic? Ha! Zbyt wiele!... Widmo pamięci
Okrutnie ty się nademną mścisz...
Zkąd przed oczyma wciąż mi się kręci
Ten grób samotny... ten czarny krzyż?

Zkąd mnie coś w sercu tak dziwnie kłuje,
Zkąd ta w źrenicy paląca łza?...
Pan A* doprawdy cudnie walcuje —
Orkiestra świetnie też Straussa gra.

Dość!... Tchu mi braknie... Tancerz mnie zdradza
I czyniąc pełen grzeczności giest,
Wachlarzem z lekka twarz mi ochładza
I mówi: „W sali gorąco jest“.

A drugi w dobrej wierze mi prawi
Słowa, co ranią duszę jak nóż:
„Z jakim zapalem pani się bawi —
„Znać, że twe życie, to pasmo róż.“

Ach! tańczmy! tańczmy!... niech się zatańczę —
Niech pęd szalony wirowych kół
Rozpędzi wspomnień straszną szarańczę,
Co mi już duszę zjadła przez pół...
.....

OSTATNIA NUTA.

Przyjaciele! wy najszczersi!
Często wyście mnie pytali,
Jakie serce noszę w piersi:
Z lawy, z lodu, czy ze stali?

Długom kryła, dziś nie taję
Raz przed wami się użalę;
O najmilsi! mnie się zdaje,
Że ja serca nie mam wcale.

Było kiedyś... jakiś szczątek
Został po niém w pustém łonie,
Na ołtarzu mych pamiątek
Jak samotna lampa płonie.

Taki ogień bladym bywa
Jego blaski nie nie grzeją,
Bo brakuje mu paliwa,
Które zowie się nadzieją.

SCHERZA.

TRZY SPOTKANIA.

Młodziutkie chłopię, młodziutka dziewczeczka,
Raz się ujrzeli w wiosny swojej świecie ...
Trwało to chwilę ... lecz taka chwileczka
Blaskiem wspomnienia lśni przez całe życie.

Dziewczynka oczki spuściła nieśmiało,
Stając jak śliczny posąg zawstydyzenia,
A w chłopcu serce niewinne zadrżało
I cicho od niej zażądał ... wejrzenia!

.....

Od owój chwili ... czasu błyskawicą
Przemkło lat parę, jak tchnienie po stali;
On już młodzieńcem, ona już dziewicą
Po raz się wtóry nawzajem spotkali.

Wtedy jak róża zapłonęła ona
Od namiętnego ócz jego połysku ...
On ... drżące ku niej wyciągnął ramiona,
Gestem i słowem błagając ... uścisku!

.....

I znów lat kilka zginęło w przeszłości,
Jak giną listki uwiedle w zamieci,
I kaprys losu... w wieku dojrzałości
Tych dwoje zetknął jeszcze po raz trzeci.

Lecz on już przed nią stał zimny jak skała,
I milczał niby głaz na sarkofagu;
Bo cóż miał mówić? — wiedział, że nie miała
Tego, co szukał obecnie... posagu!

SPÓŹNIONE WOŁANIE.

Po morzu życia smutna żeglarka
Samotnym szlakiem bez celu mknie;
A za nią goni druga łódź szparka,
Z niej hoży młodzian wychyla się.

„O piękna!“ — woła — „czemuż tak zdala
Z mojej się drogi usuwasz wciąż?
Pójdź! niech nas jedna poniesie fala,
Pójdź! losy twoje z moimi zwiąż!”

Wiosło méj łódki ujmij w swe dłonie
I wiedz mnie luba na stały ląd;
Z tobą mi żadne nie straszne tonie,
Ni żadne skały, ni żaden prąd.

Gdy mnie zwątpienia mroki ogarną,
Kiedy zahuczą pioruny burz,

Ty będziesz moją gwiazdą polarną,
Wpatrzony w ciebie, nie zbłądę już!

Żeglarko moja! zwróć ku mnie oczy
I z mego czoła tęsknotę zwieź!
I niech nad nami skrzydła roztoczy
Miłość, Albatros żeglugi téj.“

Ona mu rzecze: „Próżne wołanie!
Nie nam to razem popłynąć w dal,
Mnie już spokojne nęcą przystanie,
Tyś żądny jeszcze spienionych fal.

O! kto na morzu doznał rozbicia,
Ten się rad w podróż nie puszcza znów,
Kto już raz prześnił złoty sen życia,
Temu nie wracać w krainę snów.

Dłoń ma strudzona! Ja ci nie mogę
Być przewodniczką, żeglarzu mój!
Tobie nadzieja szepcze: „spiesz w drogę,
A mnie wspomnienie powtarza: „stój!“

Nie, ja nie taję, że kocham ciebie!
Lecz miłość moja, to taki kwiat,
Co na cmentarniej wyrósłszy glebie,
Przed urodzeniem znał śmierci świat.

I z téj krainy wyszedł bez siły,
Blade ma barwy i nikłą woń!...

Ach! jemu raczej stroić mogiły,
Ale nie młodą i wrzącą skroń!

Więc ci go nie dam. Nie schmurzaj czoła,
Płyn do przyszłości nieznanych sfer,
Tam łodzi swojej znajdziesz anioła
I w jego ręce powierzysz ster.“

On usta przygryzł, stłumił westchnienie,
Uderzył wiosłem o kryształ wód:
„Żegnaj“ — zawołał — „piękne złudzenie!
Szukałem ciepła, znalazłem chłód!

Gdy ci nie straszną samotność serca,
Widać, żeś kochać niezdolna, nie!
Rozumowanie miłość uśmierca,
Tak jak nadzieja w zwątpieniu mrze!

Żegnaj nieczuła! Ja od téj chwili
Ufności wieczną odpawę dam!
Bo jeśli taki pozór omyli,
Można w powszechny uwierzyć kłam!“

I nie spojrzawszy już na żeglarke,
Odpywa szybko; ona ze łzą
Goni oczyma niknącą barke,
Piers jój faluje i usta drżą.

Któż zbadał głębię kobiecej duszy!
Jaki psycholog na pewno wie,

Co ją rozgniewa, a co ją wzruszy,
Kiedy ucicha, a kiedy wre?

Co nie sprawiły prośby, westchnienia,
Tego gniew jego dokazał snąć,
W sercu żeglarki coś się przemienia,
Inną odpowiedź chce teraz dać!

Więc zwyciężywszy dumę dziewczę,
Wyciąga ręce wołając: „wróć!”
On się odwrócił i rzekł z goryczą:
„Przeciwko wodzie nie płynie łódź.”

PIOSENKA.

Dziewczę.

Niech mi kto rozmota
Tę zagadkę ciemną,
Zkąd nagle tęsknota
Zawisła nademną?

Odpadły mnie chęci
Do dawnych igraszek,
Serce rwie się, kręci,
Jak w klateczce ptaszek.

Checiałabym świat cały
Oblecić dokoła,
Nad morza, nad skały,
Nad miasta nad siola.

Ach! wiem już co zrobię,
Spełnię chęć zuchwałą,
Wynajdę ja sobie
Konia, jakich mało.

Rumaka mi tego
Pozazdroszą wróżki,
Z wiatru porannego
Wydmucham mu nóżki.

Z morskiej piany grzywę,
Z błyskawic dam oczy
I nozdrza ruchliwe, —
Szczęśliw! kto nań wskoczy.

Wezmę od księżycy
Srebrnego promyka,
Będzie uzdziennica
Dla mego konika.

Zdejmę cztery gwiazdy,
Ich złociste głowy
Będą podczas jazdy
Służyć za podkowy.

Różany płaszcz świtu
Będzie mu czaprakiem,
A pasek błękitu
Do podróży szlakiem.

Nie trzeba ostrogi,
Szpiery nie trzeba,
Bo konik mój drogi
Sam rwie się do nieba.

Lecz znów kłopot nowy,
Niespodziana bieda,
Konik ma narowy
I dosiąść się nieda.

Co począć, o Boże,
W pomysłach się gubię,
Kto mi dopomoże,
Z serca go polubię!

Głos.

Żal mi dziewczę ciebie,
Pomódz ci nie mogę,
Ale w tej potrzebie
Dam ci choć przestrozę:

Kto w tę podróż złudy
Puścić się zamierza,
Musi sobie wprzód
Szukać masztalerza.

Ten koń, śliczne dziecko,
Ma kaprysy swoje,
Przywykł na swym grzbiecie
Nosić zawsze dwoje.

W tém cała zawilość,
Przykra niespodzianka,
Łatwiej wyśnić miłość,
Niż znaleźć kochanka.

PIOSENKA LADAJAKA — NA NUTĘ KRAKOWIAKA.

Na gankowym zrębie
Siedzą dwa gołębie,
A na ławce w ganku
Dziewczę przy kochanku.

Gołębiczek grucha,
Gołębka go słucha —
Dziewczę oczkiem błyska,
Chłopiec rączkę ściska.

I mówi: „O miła!
„Gdybyś mnie zdradziła,
„Klnę się świętą Trójcą,
„Będę samobójcą.

„Gdy nie znajdę ciebie
„Tutaj, za powrotem —

„Na moim pogrzebie
„Pomyśl sobie o tém.“

Skoczył na konika
I w kurzawie znika,
Za nim smutna dziewa
Chusteczką powiewa.

* *

A w górze się pieści
Samiczka z samczykiem,
A on jęj tak wieści
Gołębim językiem:

„Dążyć mi zlecono
„Podniebnymi szlaki,
„W twierdzą obleżoną
„Nieść piśmienne znaki.

„Łatwo kula wroga
„Trafić może we mnie,
„A więc mnie, o droga!
„Nie czekaj daremnie.

„Bo jabym wciąż o to
„Turbował się skrycie,
„Że ty tu tęsknotą
„Zatruwasz swe życie.

„Dobierz sobie druha,
„Proszę sercem całém,

„Niechaj on ci grucha,
„Jak ja wprzód gruchałem.

„Jeśli litościwy
„Bóg na to pozwoli,
„Abym wrócił żywy,
„To na téj topoli,

„Gdzieśmy gniazdo wili,
„Samotny usiedę,
„Wspomnieniem téj chwili
„Los swój słodzić będę.

„A choć ty innemu
„Stworzysz raj miłości,
„Ja ci po dawnemu
„Dochowam wierności.

„Więc luba, bądź zdrowa!“
Strzepnął białe piórka,
I wnet go różowa
Przysłoniła chmurka.

* * *

Héj z dalekiej strony
Pędzi koń spieniony ...
Nieszczęsny kochanku!
Pustkę znajdziesz w ganku.

Napróżność tak spieszył
Do twojej niebogi,

Inny ją pocieszył ...
Wróć się lepiej z drogi.

Rozejrzał się wkoło
Zdradzony młodzieniec,
Marszczy mu się czoło,
Z lic znika rumieniec.

Wydał jęk ponury,
Dobywa krucicy,
Patrzą na to z góry
Oczy gołębicy,

Która, chociaż tego
Nikt od niej nie żąda,
Powrotu lubego
Wciąż stale wygląda.

Nie szukała sobie
Towarzysza doli,
W tęsknoty żalobie
Umrzć raczej woli.

Ale cóż to znaczy? ...
Czas jakoś uchodzi,
A młodzian w rozpacz
Kurka nie odwodzi.

Tentent przerwał ciszę ...
Snać zamiar odmienił.

Pojechał... I słyszę,
Z inną się ożenił.

A tam... kędy błonie
Zlane krwią rycerzy,
Z kulką w białém łonie
Gołąbeczek leży.

JEDYNA RADA.

Dziewczę urocze! jakiemiż sposoby
Twój wzajemności mogę zyskać trocha?
Powiedz! ja żadnej nie zleknię się próby.
Bo Herkulesem jest każdy, kto kocha!

Zecheesz-li kwiatów, co szczyty gór stroją?
Zecheesz-li pereł, co lśnią na dnie fali?
Rozkaż! a ujrzysz, że mi nie dostoją
Najśmielszy z nurków, najzwawszy z górali.

Zecheesz-li ptaka, co barwnemi pióry
Muska obłoki nad nami wiszące?
Mów! choćby skrył się najgłębiej w lazury,
Celną go strzałą do stóp twoich strącę.

Zecheesz-li zwierza z niedostępnej kniei,
Co się urąga myśliwych obławie?
Rzeknij! za jedno słóweczko nadziei
Ujarzmionego żywcem ci dostawię.

O miłość, miłość, to cudotwórczyni!
Ona mi gwiazdkę pomoże zdjąć z nieba,
I ziarnka piasku przeliczyć w pustyni;
Więc powiedz luba, co czynić potrzeba?

Tak pyta młodzian; dziewczę odpowiada:
Rzuć te zamiary płonne i dziwaczne,
Chcesz mego serca? na to jedna rada;
Przestań mnie kochać, ja cię kochać zacząć.

Z MATRYMONIJALNYCH DUMAŃ.

Marzyłem w dni moich wiosnie,
Ach! któż bo wtedy nie marzy,
I któż się potem litośnie,
Dostawszy zmarszczek na twarzy,
Nie śmieje z rojów złudnych tych,
Co w życia swego śnił wiosnie.

Dusza ma, szczerze wyznaję,
Nie była wcale ambitną,
Nie biegła w podniebne kraje,
Gdzie sławy wawrzyny kwitną,
O nie! dla złotych marzeń mych
Dość było ziemi, wyznaję,

I kwiatów żywych, co serce
Miłosną przejmują wonią,
Co je na uczuć kobiece
Różaną prowadzą dłonią,
Igrając z niemi — aż owa gra
Ich znudzi lub złamie serce.

Jam pragnął, ah! aby jeden
Z tych kwiatów dla mnie wzrósł przecie,
Aby mi ziemski dał Eden
W dwóch istnień tklwym duecie,
Duecie, w którym śmiech i łza
W akord zlewają się jeden.

I śniłem, obraz kochanki
Jasny, powiewny, uroczy,
Dałem jój lica niebianki,
Włos złoty i czarne oczy,
I wszystkie wdzięki, w których czar
Stroimy postać kochanki.

Pragnąłem także gorąco,
By umysł miała natchniony,
Duszę namiętną, marzącą,
I na wzór greckiej Safony,
Poetyczności boski dar.
Ach! tegom pragnął gorąco.

Bo sam nie mogąc się wznosić
W podniosłe sfery natchnienia,
W jój loty chciałem się wprosić,
Od niej zaczerpnąć płomienia,
I w ideałów cudny świat,
Na skrzydłach lubój się wznosić.

I poprzysiągłem, iż życie
Istocie takiej poświęcę,
I już ją na marzeń szczycie

Widziałem w ślubnej sukience,
Jak strojna w welon i mirtu kwiat
Oddaje mi się na życie.

„Poeta może mieć żonę,
„Co ciągle kluczami dzwoni,
„Ten dźwięk ma tę dobrą stronę,
„Że od przesady go broni,
„Lecz mnie, com prozy synem jest,
„Trzeba poetki za żonę“.

Tak sobie to przedstawiałem
W szczęśliwym bezżeńca stanie,
Śniąc, jakie z mym ideałem
Będzie na ziemi spotkanie,
I każde słowo, każdy gość
Naprzód sobie przedstawiałem.

Aż nadszedł dzień, dzień majowy,
W którym poznałem dziewczę,
Co miała postać królowy,
Włos złoty... czarne źrenice,
Oh! czyż opiszę wam, com czuł
W pamiętny ten dzień majowy.

Bo niedość, że mnie jój wdzięki
W takie wprawiły olśnienie,
Żem wszystkie miłosne męki
Poznał przez jedno wejście,
Lecz był w niej urok, co mnie skuł,
O! więcej niż ciała wdzięki.

Oto, dokoła niej slysze
Szepty: Czy wiecie kto ona?
Poetka! tragedyje pisze,
Polska Korynna! Safona!
Gienijusz, zjawisko z wyższych stref.
„Boże! szepnąłem, co słyszę?

„To mój ideał! ja stoję,
„Do stóp jój jeszcze nie padłem?“
I wnet czcicieli jój roje
Roztrącam z licem pobladłem,
Nie bacząc na ich podziw, gniew,
Bo oto przed nią już stoję.

I cały drżący: „O pani!“
Wołam w miłosnym zachwycie,
„Me serce niosę ci w dani,
„Imię, majątek i życie
„Spełnij mych marzeń złoty sen
„Niech żoną cię nazwę pani!“

Zrazu pobladła ze zgrozy
Na tak zuchwałą zachciankę
Co? w jarzmo małżeńskij prozy
Chcą zaprządz Muzy kapłankę?
„Powiedzcie! kto jest śmiałek ten“
Spytała drżąca ze zgrozy!

„Bogacz“ zawołał ktoś w tłumie.
„Milijoner“ krzyknęto z boku.
Ona — milezała w zadumie —

Gniew jakoś przygasał w jój oku
Tkliwe jój serce drgnęło snąc
Widząc, że ledwie lży tłumię.

„Oto jest moja odpowiedź“
Rzekła — i dłoń mi podała —
Przed ołtarz ślubny mnie powiedź,
Miłość twa walka zdołała
W chłodną pierś moją ogień wlać“
Tę usłyszałem odpowiedź. —

* * *

Dziś — rok już siódmy upływa,
Jak na nią codzien się patrzę,
Ona jest bardzo szczęśliwa —
Grano jój sztukę w teatrze
Pisze poezyj piąty tom
I tak jój życie upływa

A mnie, spytacie się może,
Czy również szczęście się śmieje?
O! naturalnie — mój Boże!
Spełnione moje nadzieje —
Przybytkiem Muzy jest mój dom —
Czegóż więc braknąć mi może?

A — jednak — gdyby mi dano,
Znów na przeszłości wejść tory
Mych marzeń siatkę różaną
W też same utkał bym wzory

W też same sfery bym się rwał,
Gdyby mi młodość znów dano.

Również na obraz mój żony
Wyśniłbym sobie kochankę
I bił bym przed nią pokłony,
Wielbił w niej bóstwo, niebiankę
I wszystkie nazwy bym jój dał
Ach tylko prócz nazwy ... żony...

PO LATACH.

ieliśmy sobie zawsze tyle
Do powiedzenia
W słowa wplatały się pocałunki
I westchnienia.

Pilnie strzeżeni, bardzo rzadko
Byliśmy sami
I wtedy zawsze, jakby na złość
Ktoś skrzypnął drzwiami.

Bóstwo kochanków miało dla nas
Twarz zagniewaną;
Nieraz w połowie słowa „kocham“
Nam przerywano.

A już największą naszą klęską
Był jój wuj stary
Cośmy przez niego wycierpieli
Nikt nie da wiary.

Nie szczędził żadnych nam przycinków
I komplementów
Od pensjonarek jój wymyślał
Mnie od studentów.

Jednak, pomyślnie się skończyły
Te ciężkie próby
I już lat kilka, jak nas łączą
Dozgonne śluby.

Na naszém niebie zabłysnęła
Gwiazda szczęśliwa;
Nikt nam sam na sam najdłuższego
Już nie przerywa.

Tylko, rzecz smutna, że w tém życiu
Czas wszystko zmienia
I my... nie mamy już nie sobie
Do powiedzenia!

IMPROMPTU.

Wesołości święta nuto,
Ozwij się choć raz,
W jakież więzy cię zakuto
Że milczysz jak głaz?...

Struna twoja zardzewiona,
Daj z niej zetrzeć pleśń,
Daj nam znów Anakreona
Brylantową pieśń.

Lej w wyięble piersi nasze
Święty piękna szal,
Jakim życia złotą czaszę
Pijąc, greczyn wrzał.

Dzisiaj Muza opuściła
Swoją słoneczny lot,
Wian różany zamieniła
Na cyprysów splot.

A poeta tylko w kiry
Stroi mroczną skroń,
Gdy na strunach kładnie liry
Ocieżała dłoń.

W ciemnych barwach wszystko widzi,
Nawet zorzy świt,
On się szczerze rozśmiać wstydzi,
Śmiech jego to zgrzyt.

Celem jego dziś bez przerwy
Piołun z życia ssać?
Sobie serce, drugim nerwy
Na tortury brać!

Jako rybak bada tonie,
Gdzie ma rzucić sieć,
Tak on w ludzkiem szuka łonie
Złudzeń, by je... drzéć!

PRZEKŁADY.

NOC STYCZNIOWA.

PANU JULIJUSZOWI MIEN,

znakomitemu tłumaczowi arcydzieł naszej literatury, przekład ten
jego oryginalnego utworu, poświęcam.

POETA.

Wstań dniu szarawy! białe lono zorzy
Już się wynurza z opon nocnych cieni;
Wstań! niech mi jeszcze w oczach się odtworzy
Niepewne światło twych białych promieni.
Przy mém wezglowiu mara bezsenności
Siadła téj nocy — przez nią wywołane
Ujrzałem lube widma méj przeszłości,
Mojego życia złudzenia wiośniane!
O, jam je widział! lecz jak błyskawica,
Mignawszy, znikły te niebios wysłanki,
W posępnym brzasku, co smutno prześwieca

Przez ciemne okna mojego firanki!
Wstań, dniu szarawy, którego z powicia
Wesołych ptasząt nie budzą piosenki,
Wstań! tyś prawdziwy obraz mego życia,
Co gaśnie we mgłach, jak blask twój jutrzeński.
Przybądź! ramiona żądne ci otwieram,
Bo chcę zapomnieć... chcę żyć... a umieram!

CIEŃ.

Do dnia daleko! spocząć ci potrzeba.
Ten siny promień nie jest posłem ranka:
To blask księżycy, co śle z wyżyn nieba
Drzemiacęj ziemi wejrzenie kochanka.
Śpij! jam przy tobie! skrzydła mój opieki
Otoczą ciebie... powiew ich rozwieje
Zwątpienie twoje; o, zamknij powieki!
Bóg ci przezemnie powróci... nadzieję.

POETA.

Zbyt późno niesiesz mi pociechę twoją!
Nadzieja — słowo bezsilne! czeze dźwięki!...
Ja, wśród tych wszystkich, którzy się nią poją,
Widzę łzy tylko, słyszę tylko jęki.
Szczęście, to chwila, jeden błysk uroczy —
A świat jest mroczną, posępną krainą,
Polem, na którym bój ciągły się toczy;
Otehlania bez dna, w której wszysej giną...
Miejscem, gdzie czarny anioł przeznaczenia
Wśród tłumów ludzi pełni srogą rolę,

I zimnym palcem wyciska bez drżenia
Straszny swój stygmat na śmiertelnych czole!
Kto ma nadzieję, ten truciznę chłonie,
Ten się odurza — i wprędce ocknięty
Ze swego szału, znajdzie po nim w łonie,
Jak na dnie czary — same tylko męty!
O, zmilknij, słodki nadziei proroku!
Bo me złudzenia, blade niebios dzieci,
Już się rozpierzehły... a w mém smutném oku,
Gdziebądź niem spojrzę, łza się tylko świeci!

CIEŃ.

O nieszczęśliwy, sam odrącasz życie!
Czyż o tém nie wiesz, iż w rzeczywistości
Wszystko martwieje, jak w zimnym granicie,
Jeśli w niej promień nadziei nie gości?
Wznies wzrok ku niebu! odwróć go od ziemi,
Chociaż na chwilę, a przed Stwórcy tronem
Ujrzysz nadzieję, jak ze złożonemi
Kornie rękoma, z licem zamodlonem
Kłęczy, tak czysta, że jak w wód przezroczu
Świeci w niej niebios jasność lazuruwa!
A w każdej chwili, z jęj promiennych oczu
Łza się wymyka — łza, pereł królowa,
I na świat spada, co się sam zadziwia
Ile sere zwiędłych ta rosa ożywia.
A wiesz-li, o co błaga tak ze łzami
Boga? dla czego takim smutkiem zdjeta?
Nadzieja, synu, gdy się żegna z nami,
Jest jako matka, co rzuca pisklęta,

By głodnym dziobkom przynieść pożywienie,
I w gniazdko z sercem powraca strwożoném
Myśląc, że może znaleźć swe schronienie
Zniszczone, ptaka drapieżnego szponem.
Poeto! nie gardź nadziei darami,
Bo gdy twe serce bluźni i zlorzeczy,
Ona u Boga wstawia się za wami,
Prosi o balsam, co wszelki ból leczy.

POETA.

Ona się wstawia — mówisz, głosie miły?
Lecz Bóg, niestety, na jęj prośby głuchy!
Cóż my dla Niego!... nędzne ziemskie pyły,
Którymi wiatrów miotają podmuchy.
Gdy się doń wznoszę, cień Jego mnie trwoży,
Nie dla mnie śmiałe loty Tytanowe!
I muszę znowu pełzać wśród rozdroży,
Schylając smutnie zwyciężoną głowę.
A jednak... jednak... jam raz dotknął czołem
Sklepienia tego, co śmiałków druzgoce!
Lecz to snem było — i wnet się ocknałem,
Aby się w ziemskiej zanurzyć pomroce.
Śnie mój! ty byłeś tak szczęsny, uroczy,
Że sam o ciebie Stwórca był zazdrosny!...
Duch mój szybował jak ptaszek ochoczy,
Co po raz pierwszy w świeży ranek wiosny
Rozwija skrzydła i prując lazury,
Poi się czarem nowego dlań świata,
Promieniem słońca, uśmiechem natury,

A dumny życiem, aż pod niebo wzlata!
Wtędym poetą był! sercem poety
Kochałem wszystko, pilem nektar boski
W zapachu kwiatów, w spojrzeniach kobiety,
Rzucając dla nich wszystkie życia troski.
Wtedy wierzyłem, że przyjaźń istnieje,
Że słodka litość cierpienia łagodzi,
Że dłoń nadziei, tego co się chwieje,
Potrafi wyrwać ze zwątpień powodzi.
Świat mi się zdawał poświęcenia szlakiem,
Po którym człowiek idzie na katusze
Niby bohater, z zaparciem się takim,
Dający bliźnim krew swoją i duszę.
Lecz gdym go ujrzał, jak bije pokłony
Przed samolubstwem, jak jest sługą ciała,
O! wtedy... sen mój rozwiął się prześniony,
Pękło mi serce, lutnia oniemiała!

CIEN.

Więc tak bez walki dajesz przeznaczeniu
Owładnąć sobą! — ulegasz rozpaczcy?

POETA.

Jest-że kto taki, co w mém poniżeniu
Wyciągnąć do mnie dłoń pomocną raczy?

CIEN.

Bóg!

POETA.

O! ja już w Bogu straciłem nadzieję,
Jak wątlą płonkę zgięła mnie dłoń Jego,
A na tym świecie, który się sam chwieje,
Punktu oparcia nie widzę żadnego!

CIEŃ.

Poeto! synu lazurów i ziemi,
Powróć do wiary! ona cię uleczy:
Niech głos modlitwy wzruszy usta twemi,
A Bóg ci swojej nie odmówi pieczy.
Bo w każdej lutni dźwięczy technienie Boże,
I Bóg każdego śpiewu jest poczęciem;
Człowiek szalony przeklinać Go może,
Ale poeta jest Jego dziecięciem.

POETA.

A któż ty jesteś, nieujęty cieniu,
Co me z nadzieją, chcesz wznowić przymierze?
Ktoś jest ty, który w powszechném milczeniu,
Sam jeden tylko wspominasz o wierze?
Powiedz? Czy Bóg się objawia w twój mowie?
Lub może tyś jest ów gość tajemniczy,
Co w nocy moje nawiedza wezglowie,
Zbiera łzy moje i westchnienia liezy?

CIEŃ.

Nie czekaj dłużej. Już powstaje zorza.
Odechodzę. Stwórca do siebie mnie woła.

Imienia mego pełne są przestworza:
Jam gwiazdą, która lśni u nocy czoła.
Ja się objawiam w bezsenności chwili
Oczom poety, gdy ten cierpi wzgardę.
Kiedy mu życie, świat, ludzie niemili,
Kiedy w nim serce buntuje się harde.
Ja doń przychodzę wtedy nocną marą.
Jak dziecko tulę i jak dziecku śpię, —
Gorącym technieniem zimną pierś rozgrzewam —
I on mi wierzy — bo ja jestem wiara.

Warszawa, 6 marca 1879 r.

Z ALFREDA de MUSSET.

I.

LUCYJA.

Najmils! Kiedy z wami się rozstań,
Zasadźcie wierzbę u cichój mogiły;
Lubię jęj długie liście rozplakane
I cień jęj blady dziwnie mi jest miły;
Czuję, że lekko spać mi pod nią będzie,
Gdy grobu mego obejmie krawędzie.

Pamiętam — raz wieczorem, siedzieliśmy sami
Przy klawikordzie — ona, pochyliwszy głowę,
Białą rączką igrała lekko z klawiszami
Dobytając z nich dźwięki, tłumione, echowe,
Podobne do fal plusku, kiedy je rozcina
Wiosło żeglarza — albo do owego szmeru,
Jakim się czasem wątła poskarży krzewina,
Kiedy ją muśnie zefir skrzydłami z eteru!
Dokoła noc się słała, tajemnicza, cicha,

Niebo było gwiazd pełne — ziemia pełna kwiatów,
A z każdego promienia, z każdego kielicha,
Jakiś czar, zda się, z wyższych poczerpnięty światów,
Płynął ku nam namiętny — a niepokalany.
W parku, chwiejąc się zwolna, dęby i kasztany
Kołysały motyli nawpół senne roje.
Nie nie męciło wielkiej milczenia powodzi,
Oprócz naszych oddechów, bo tylko my dwoje
Byliśmy tam — samotni ... ach! i tacy młodzi!
Jam wpatrywał się w Lucyję. Włosy miękkie, płowe,
Okalały jęj cudną, bledziutką twarzyczkę,
Oczy miała głębokie, jasne, lazurowe —
Kochałem ją nad wszystko w świecie jak sio-
strzyczkę —

Bo była taka święta, tak pełna skromności,
Że nie umiała innęj obudzić miłości!
Rączka jęj dotykała mój dłoni. Milczałem,
Śledząc myśli krążące po jęj czole białem.
I czulem, że mnie urok nieprzeparty pęta.
Ach! bo wierzajcie, nie tak serca nie zachwyca,
Jak te szczęścia i ciszy dwa znaki bliźnięta:
Młodzieńczość czystej duszy i młodzieńczość lica.
W tém księżycu, na bezchmurne wpłynawszy błękity,
Osnął ją siecią blasków, że się srebrną stała,
Spostrzegła w mych źrenicach obraz swój odbity,
Uśmiech zakwitł na ustach jęj — i zaśpiewała ...

.....
.....
Harmonijo! córko bogów! powiernico Feba!
Mowo bezsłowna, w której tyle wyznać można!
Nam ciebie dały Włochy — Im dały cię nieba!

II.

NADZIEJA W BOGU.

Póki me słabe serce nie zerwie z młodością
 I nie pożegna złudzeń u zwątpienia proga,
 Chciałbym tą starożytną rządzić się mądrością.
 Co ongi z Epikura zrobiła pół-boga.
 Pragnąłbym żyć i kochać; przywyknąć do ludzi,
 Nie wierząc zbytnio w szczęście, wyciągać doń dłonie,
 Bawić się tém co bawi, nudzić tém co nudzi
 I poglądać rad w niebo, nie troszcząc się o nie.
 Napróżno! Nieskończoność dręczy mnie tajemnie
 Myśląc o niej, odczuwam nadzieję lub trwogę
 I pomimo wszystkiego, rozum słabnie we mnie.
 Bo ja widzę — a przecież pojąć jęj nie mogę.
 Czem więc jest świat — co na nim robi ludzkie plemię
 Jeśli chcąc żyć spokojnie, trzeba żyć w połowie;
 Isć jak trzoda, z oczyma utkwionemi w ziemię
 I nie prócz niej nie widzieć..... toż się szczęściem
 zowie?

Nie! to jest człowieczeństwo poniżyć i duszę!
 Jestem na świat rzucony losu tajemnicą,
 I szczęśny, czy nieszczęśny człowiekiem być muszę,
 Bo kobieta mi matką — a ludzkość siostrzycą.

Cóż więc?... Używaj! mądrość doradza pogańska,
 Używaj i umieraj... i bogów sen skuwa.
 Miej nadzieję! odpiera wiara chrześcijańska,
 Nie możesz nigdy umrzeć, niebo wiecznie czuwa.
 Między temi drogami wahanie mnie trzyma,
 Chciałbym łatwiejszą ścieżką, kres życia domierzyć?...
 Próżno szukam... głos jakiś szepece mi: tój niema.
 W obliczu niebios trzeba wierzyć lub nie wierzyć.
 I ja tak samo myślę. Udręczone dusze
 W dwie te ostateczności wpadają z kolei.
 A ludzie obojętni?... ci są ateusze
 Śpią spokojnie... bez zwątpień lecz i bez nadziei.
 Dają więc za wygraną... a skoro w tój sferze
 Ziemskich pożądań... tak mnie czegoś brak, tak cie-
 mmo...

Zegnę kornie kolana... zaufam... uwierzę...
 Niech wiem co chcą odemnie, i co będzie ze mną!

Oto mnie ma w swych rękach Bóg... trwogę budzący
 Większą, niżli najsroższych męczarni narzędzie;
 Oto jestem sam, nędzny, bezsilny, błędzący,
 Pod okiem tego świadka, co mnie śledzi wszędzie.
 Gdy zbyt szybkich uderzeń serca nie ukrócam,
 Obrażam jego wielkość, ubliżam boskości, —
 Przepaść jest na mój drodze: jeśli się w nią rzucam,
 By zmazać chwilę szalu, trzeba mi wieczności.
 Sędzia mój mnie omamia światłości pochodnią.
 Wszystko dla mnie zwodnicze, wszystko nazwę zmienia
 Miłość zowie się grzechem, szczęście zwie się zbrodnią.
 A świat, dzieło dni siedmiu — dziełem pokuszenia.
 Sam się zmienionym widzę już do niepoznania

Nie jestem sługą grzechu, ni cnoty czcicielem.
 Czekam tylko nagrody... unikam karania
 Bojaźń mym przewodnikiem, a śmierć moim celem.
 A przecież... wy o szczęściu wybranych mówicie...
 O szczęściu nieskończonym, po życia utracie.
 Jeżeliście mnie zwiedli... wróćcież mi życie?
 Jeśli szczęście to prawdą — wstęp że mi doń dacie?
 Niestety! raj, o którym śpiewają prorocy,
 Jeśli tam gdzieś istnieje, musi być pustynią,
 Chcecie ich mieć świętymi, niż jest w ludzkiej mocy
 Tych wybrańców co z siebie męczenników czynią
 I szczęściem przyrzeczonem cieszyć się nie mogą
 Bo je nadmiarem cierpień kupują zbyt drogo.
 Jam jest tylko człowiekiem i tём się rad szczyć;
 Czems' mniej bym nie chciał zostać, czems' więcej nie
 zdołam.

Co począć? Płonne dla mnie księdza obietnice;
 Czyż się do ateusza po radę odwołam?

Gdy zmęczone marzeniem, biedne serce moje
 Przyzywa rzeczywistość, by je ukoila,
 Na dnie tych ezczych rozkoszy, któremi się poję,
 Znajduję taką pustkę, jakby w niej śmierć tkwiła,
 Nawet w dniach, gdy po głowie krąży myśl bezbożna
 Kiedy by przestać wątpić... przeczyć by się chciało,
 Gdybym miał wtedy wszystko, co posiadać można
 Do czego tęskni dusza, za czём wzdycha ciało,
 Gdyby mi dano zdrowie, bogactwa, zaszczyty,
 Miłość, jedyne dobro, co téj nazwy warte,
 Gdybym ujrzał przez greków wielbioną Astarte
 Opuszczającą dla mnie wysp swoich błękit,

Gdybym mógł wzrok w głąb ziemi zapuścić sokoli,
 I dojrzyć tam czynniki twórcze jój płodności, —
 Gdybym zdołał materię przekształcać do woli
 I stworzyć sam dla siebie ideał piękności,
 Gdyby stary Epikur, Lukrecyusz, Horacy
 Usiadłszy przy mym boku, szczęśliwym mnie zwali,
 Gdyby ci wieley, dawnéj natury śpiewacy
 Rozkosz mi i pogardę bogów wysławiali,
 Rzekłbym im: „Próżno słowy karmię się waszemi
 Cierpię... zapóźno... świata nie nie przeistoczy,
 Promień nowéj nadziei zajaśniał na ziemi
 I chcąc czy nie chąc musim wznieść ku niebu oczy.“
 Cóż mi więc pozostaje? Rozum mój się zmusza
 Wierzyć, a serce wątpić, oboje bez skutku.
 Chrześcianin mnie przeraża, a słów ateusza
 Wbrew zmysłom słucham pełen odrazy i smutku.
 Bezbożnikiem mnie nazwą prawdziwie wierzący,
 Obojętni szaleńcem!... gdzież znajdę obronę...
 Do kogo się ucieknę... jakież głos kojący
 Pocieszy moje serce zwątpieniem zranione?

Istnieje — mówią — system filozofii taki,
 Który wszystko tłómaczy nam bez Objawienia
 I swoim zwolennikom nowe znacząc szlaki
 Wiedzie ich między drogą wiary a przeczenia.
 Przystaję. Gdzież są owi mędrecy nieomylni,
 Których oczom się prawda ukazała naga;
 Ci, tylko sobie ufni, sofiści bezsilni,
 Jakież są ich twierdzenia, jakaż ich powaga?
 Jeden mi ukazuje dwie wrogie dla siebie

Zasady — i na walkę ich płoną pogląda ¹⁾
 Drugi odkrywa kędyś na samotném niebie
 Niepotrzebnego Boga, który czei nie żąda ²⁾.
 Pythagores przekształca istotę człowieka,
 Kartezyusz mnie na mgliste wyprowadza bezdroże,
 Pascal przed widzeniami własnymi ucieka,
 Montaigne się ciągle bada i pojąć nie może.
 Pyrron znów mnie oślepia, Zenon mnie nie wzrusza,
 Wolter wszystko obala i z wszystkiego szydzi,
 A Spinozy zmęczona porywami dusza
 Szukając próżno Boga, we wszystkiém go widzi:
 Sofista anglik ³⁾ zowie człowieka maszyną,
 Wreszcie — niemiecki retor ⁴⁾ wychodzi z ciemności
 I burząc to, co było już i tak ruina
 Ogłasza pustkę nieba, królestwo nicości!
 To są więc, nędzne ludzkiej téj wiedzy okrucy...
 Po tylu wiekach badań przez które myśl śmiała
 Przetrawiała w swych głębiach niepodległe duchy,
 Oto ostatnie słowo, jakie nam zostało.
 O! wy biedni szaleńcy, czciciele mamidel
 Zuchwałych usiłowań zgnębione Ikary,
 Aby się wzbić do nieba, nie stało wam skrzydeł,
 Mielście tylko żądzę, brak wam było wiary!
 Żal mi was... wasza pycha z ran duszy pochodzi;
 Cierpieliście te męki, co mém sercem szarpia,
 Nieskończoność was trula; wiecie jaką harpia
 Jest myśl o niej, gdy w piersi człowieka się zrodzi.

¹⁾ System Manechejczyków.

²⁾ Teizm.

³⁾ Locke.

⁴⁾ Kant.

przyp. tłum.

A więc módlmy się razem — wyprzymy marności
 Dziecinnych rozumowań; moc ich pokonana —
 Teraz, gdy się już prochem stały wasze kości.
 Na waszych cichych grobach pójdę zgiąć kolana.
 Pójdźcie, mędracy pogańscy, szermierze idei!
 Marzyciele dni przeszłych i dnia dzisiejszego,
 Wierzajcie mi! modlitwa jest krzykiem nadziei!...
 Aby Bóg nas wysłuchał, zwróćmy się do Niego.
 On dobry, sprawiedliwy, pewnie wam przebacza,
 Wszyscy wyście cierpieli — ból winy zmazuje
 Ufni we wszechpotęgę naszego słuchacza,
 Odezwijmy się śmiało — może się zlituje.

O ty! którego nikt znać nie może
 I nikt zapoznać śmie,
 Coś mi dał życie, by je wziąć, Boże!
 Błagam, odpowiedz mnie!

Gdy nam nie bronisz Ciebie pojmoswać
 Czemu nam wątpić dasz?
 Jakąż w tém rozkosz mozesz znajdować
 By mieć spokój nasz?

Człowiek Cię, zda się, spostrzega w górze
 Po za błękitną mgłą;
 I on, król świata, w całej naturze
 Widzi świątynię Twą.

Gdy w siebie sięgnie okiem badacza
 Znajdzie odbicie Twe,

Jeżeli kocha, cierpi, rozpacza
To jego Bóg tak chce.

Najwznioślejszego celem dążenia,
Co naprzód mędrców pcha,
Jest dowieść Twego, Boże, istnienia
Dać imię Twemu ja.

Nędzarz, co na tym płaczu padole
Najmnień Twych doznał łask
Dzięki Ci składa, gdy jego dolę
Ozłoci szczęścia blask.

Wszyscy Cię wielbią, ptak nawet w lesie
Ledwo zbudzony z snu;
Tysiące istot hołdy Ci niesie
Za jedną kroplę dżdzu.

Czemuż Ci, Panie, przyszła ochota
Stworzyć tak wielkiem zle?
Że nawet rozum, że nawet cnota
Blednie, ujrzawszy je?

Czemu gdy tyle na świecie rzeczy
Twa Boskość głosi nam
I o ojcowskiej Twój mówi pieczy
Tyle zadaje im kłam?

Czemu odkrywa Twa jasność dniowa
Tyle ohydnych skaz?

Że modlitewne konają słowa
Na ustach drżących mas?

Czemu harmoniją Boską stworzenia
Weiaż obey miesza ton?
Poco choroby, zbrodnie, cierpienia
O, Boże, po co zgon?

Sam łzęs litości pewno uronił
Czystą, jak lilii kwiat,
Gdy się z chaosu płacząc wyłonił
Ten biedny cudny świat.

Gdyś w nim umieścił nieszczęście i złości
Wiecznie bijący zdroj,
Dla czegożeś mu, w nieskończoności
Ukazał obraz Twój?

Czemuś pozwolił naszej niedoli
Zgadywać, że jest Bóg,
Gdyś w niedostępnej chciał aureoli
Pozostać dla Twych sług?

Trzeba się było Twój Wszechmoności
Pod płaszczy natury skryć;
Człowiek, choć cierpiąc, w nieświadomości
Mógłby spokojniej żyć.

Jeśli modlitwa i łza nie sięga
Twojego Tronu stóp,

Niech nam oszczędzi Twoja potęga
Zawodu próżnych prób.

Lecz, jeśli świadom naszego bytu
Z litością patrzysz nań,
Jeżeli słyszysz przez mur błękitu
Odgłosy naszych łkań,

Zerwij osłony te tajemnicze,
Rozjaśnij zwątpień noc,
Sprawiedliwości Twojej oblicze
I łaski okaż moc.

Wtedy się wszystkie serca rozżarzą
Przeczystą wiary skrą,
I cała ludzkość upadnie twarzą
Przed oblicznością Twą.

Lzy jej obeschną, jako sennie rosa
Gdy wyrzzy słońce z chmur,
A zamiast jęków wzleci w niebiosą
Szczęścia, miłości chór.

Śpiew ten nakaże wieczne milczenie
Wszystkiemu, co jest złem:
Zmilknie bluźnierstwo, zmilknie wątpienie
A nawet śmierci ostatnie tchnienie
Bez echa skona w niem.

III.

ŚPIEWKA FORTUNIA.

Ja nie zaprzeczam, kiedy mówicie,
Że kocham skrycie,
Lecz mnie nie skusi żadna korona,
Wyznać, kto ona.

Jeżeli chcecie, będziem za stołem
Śpiewali społem,
Że ją uwielbiam, i że ma włosy
Złote jak kłosy.

Ja spełniam, co mi ten anioł z nieba
Pełnić rozkaże;
A jeśli życia mego jej trzeba,
Złożę je w darze.

Ból, jakim miłość skryta a szczera
Napełnia duszę,

Do głębi serce moje rozdziera,
Skonać z nim muszę.

Lecz kocham nadto, by tajemnicy
Dać uciec z łona,
I umrę dla téj mój białolicey
Tając: kto ona.

IV.

PRZYPOMNIJ SOBIE.

Przypomnij sobie, gdy jutrenka różana
Otwiera Słońcu bramę swą promienistą;
Przypomnij sobie, kiedy Noc zadumana
Przechodzi zwolna pod zasłoną srebrzystą —
Gdy do rozkoszy twe łono się wyrywa,
Gdy do snów słodkich, wieczorny cień cię wzywa
Wtedy z głębi dąbrowy,
Głos ci szepnie echowy:
Przypomnij sobie!

Przypomnij sobie, gdy palec przeznaczenia
Wskaże nam drogę, każdemu w inną stronę,
I kiedy lata, wygnanie i cierpienia
Zgnębią do reszty to serce zrozpaczone;
O mój miłości pomyśl i o rozstaniu,
Cóż znaczy przestrzeń, cóż znaczy czas w kochaniu?
Serce me zawsze, wszędzie
Wciąż ci powtarzać będzie:
Przypomnij sobie.

Przypomnij sobie, gdy na wieczne niewstanie
Położę głowę w chłodnej ziemi pościeli;
Przypomnij sobie, gdy na na moim kurhanie
Samotny kwiatek kielichem bladym strzeli —
Już mnie nie ujrzysz, lecz niewidzialny oku
Duch mój wciąż będzie ulatał przy twym boku,
I w ciche noce wiosny
Usłyszysz jęk żalosny:
Przypomnij sobie.

V.

DO KOBIETY.



tak! kobieto, moc twa wiele znaczy,
Przyznać to muszę,
Jeden twój uśmiech w szczęściu lub rozpaczy
Pograża duszę.

Milezeniem, mową drwiącą czy niedbałą,
Lub ruchem ręki
Potrafisz sereu, co cię ukochało,
Zadawać męki.

Możesz być dumną, bo jakby za karę
Naszej słabości,
Nie twojej władzy nie służy za miarę,
Prócz twój płochości.

Lecz wszelkiej ziemskiej władzy nadużycie
Grób dla niej grzebie,

I ten, kto tylko umiał cierpieć skrycie
Opuszcza ciebie.

A choć ból srogi serce mu przenika,
To w oczach świata
Piękniejszą zawsze rola męczennika,
Niżeli kata!

VI.

POŻEGNANIE.

Już pożegnania wybiła godzina,
Co może wiecznym grozi nam rozdziałem.
Bóg cię przyzywa — o mnie zapomina,
Tracąc cię, czuję, ile cię kochałem.

Nie... ja nie będę skarg szerzył ni żali,
Umiem się godzić z przyszłości wyrokiem,
Niechaj przyplynie łódź, co cię oddali,
Z uśmiechem będę gonił za nią wzrokiem.

Rzucasz te miejsca z nadzieją świetlaną,
Aby w nie kiedyś z tryumfem powrócić;
Lecz tych nie poznasz, którzy tu zostaną
I będą zdala od ciebie się smucić!

Żegnaj! wśród uciech i wrażeń powodzi
Pojąc się niemi, prześniesz sen uroczy,

Gwiazda, co teraz na twój drodze wschodzi,
Długo ci będzie olśniewała oczy.

Lecz może kiedyś... pojąć będziesz w stanie,
Czem to na świecie wierne serce brata,
Jakiem to szczęściem jego posiadanie,
I jaką klęską jest jego utrata.

VII.

DO NINY.

Gdybym ci szepnął „kocham,” cóżbyś rzekła?
O czarnowłosa z modremi oczyma!
Miłość, wiesz dobrze, kogo raz urzekła,
Już dlań spokoju i swobody nie ma.
A nikt, ty sama, choć stan ten rozumiesz,
Czyż się zlitować nad nim chcesz? lub umiesz?

* * *

Gdybym ci wyznał jakie udręczenia,
Jakie tęsknoty, obawy i żale
Kryję oddawna pod płaszczem milezenia;
O! Tyś domyślna i lubisz niedbale,
Jak wróżka, wszystko zgadywać przelotem,
Możebyś rzekła mi chłodno: „Wiem o tém.”

* * *

Gdybym ci wyznał, jak w słodkim oblędzie,
Wciąż myślą gonię Twą postać powiewną

Nino! Wiesz dobrze, jak ci ładnie będzie
Nastroić minę wąpiącą, wpółgniewną,
Więc choćbyś czuła, że to mówię szczerze,
Możebyś głośno odparła: „Nie wierzę.“

* * *

Gdybym ci wyznał, że od łez i żalu
Ni w dzień, ni w nocy, nie mam wolnej chwili
Nino! gdy twoje usteczka z koralu
Figlarny uśmiech uroczo rozehyli...
Pszczoła jak z róży miódby z nich ssać chciała;
Gdybym to wyznał... możebyś się śmiała.

* * *

Lecz o tém wszystkiém milczą usta moje,
W wieczór przy lampie siadam naprost ciebie
I głos twój słyszę, teńmieniem twym się poję,
W twe lica patrzę, o! i jestem w niebie;
I możesz wąpić, gniewać się, żartować,
Zawsze jednako będziesz mnie czarować.

* * *

W skrytości zbieram bujne uczuć plony.
Czasem za krzesłem twym, przy klawiaturze,
Gdy z pod twych rączek płyną walca tony,
Stanę, pochylę głowę, oczy zmrużę,
I zda się czuję, mocą złudzeń słodką.
W moich objęciach kibić twoją wiotką!

* * *

W noc wreszcie, kiedy pożegnać się muszę,
Kiedy samotny powracam do domu,

Tysiące wspomnień zalewa mi duszę,
A ja jak skąpiec, który pokryjomu
Z chciwą radością w skarbach swoich grzebie,
Mój skarb otwieram: serce pełne ciebie.

* * *

Kocham! i umiem chłód przyzwać na lica,
Cierpię! i ust mych skarga nie rozklei;
Drogi mi ból mój, droga tajemnica,
I poprzysiągłem kochać bez nadziei,
Lecz nie straciłem szczęścia z tym rozbratem,
Mogę cię widzieć i — dosyć mi na tém!

* * *

Nie! o nie dla mnie ta dola szczęśliwa,
Abym w objęciach twych życie przemarzył,
Wszystko mnie o tém wszystko przekonywa,
A jednak, jednak, gdybym się odważył.
Gdyby z chmur tęcza w duszy się rozwlekła,
I tajemnica gdyby mi uciekła.
Gdybym ci szepnął „kocham.“ cóżbyś rzekła?

VIII.

POWRÓT.

Szczęśliwy żeglarz! który ujrzy o świetle
Rodzinne miasto na wpół jeszcze drżemiące
I wita razem ojczyznę swą i życie
Niebo i miłość, szczęście i złote słońce.

Widzicie w dali! statek rozkołysany
Co sunie ku nam po lazurówj głębi,
A morze z podeń wyrzuca srebrne piany
Jak śmiały rumak, co się jeźdzcowi zdębi.

Witaj nam ptaku! dążący na swe leże,
Rozpięte żagle jak skrzydła przestrzeń prują;
Szczęśliwyś! jeśliś ukochał to wybrzeże,
Stokroć szczęśliwszy, jeśli cię oczekują!
Skąd wracasz statku? w jakiej odległej toni
Grzbiet swój obmyłeś, wspaniały Lewiatanie!
Czyliś raniony? czy na twój dumnej skroni
Bruzdami długie wyrzyło się błakanie?
Czyliś bogaty? czy wiesz na pokładzie
Owoc stosunków z Indyjami lub Meksykiem?

Lub może wiatry stanęły ci na zdradzie
I wzięły wszystko za okup pod Równikiem?
Co cię spotkało! pośród morskich przezroczy?
Czy bój śmiertelny wydała ci natura?
Patrzyłeś? śmierci, lat parę prosto w oczy,
Aby Europy błada, pieszczona córa
Mogła mieć kąpiel pachnidłem zaprawioną
Lub koralami przystroić białe łono!...

O! jak drży serce! gdy stęsknioną żrenicą
Na horyzoncie wypatrzy ziemię drogą
Co z oceanu wybłyśnie mdłą wieżycą!
Jakaż to rozkosz tój ziemi dotknąć nogą.
O! ty rodzinna kraino, tajemnico
Niewywinięta dotychczas z twych osłonek;
Czyż nam sądzono wyroki przedwiecznemi
Rodzić się tylko dla jednej piędzi ziemi,
By zwić w niej gniazdo i żyć w niem jeden dzionek?

Z WIKTORA HUGO.

I.

GRÓB i RÓŻA.

Grób pyta róży: Kwiatku kochanków!
Co robisz z rosą, tą łzą poranków,
Skrytą w twém łonie?
A róża pyta: Co robisz, grobie,
Z temi ciałami, co w każdej dobie
Przepaść twa chłonie?

Róża odpowie: Grobowce cichy,
Ja z tych łez spadłych, w moje kielichy,
Ślę woń dookoła.
A grób odpowie: Różo płaczliwa!
Ja z każdej duszy, co mi przybywa,
Tworzę anioła.

II.

STARA PIOSENKA NA NOWĄ NUTĘ.

Jeśli jest gdzie miła oku
Łąka rosą myta,
Kędy w każdej porze roku
Nowy pąk rozkwita,
Kędy można w obfitości
Rwać lilije, powoje,
Serce moje z niej umości
Szlak pod stopki twoje.

Jeśli jest gdzie czyste łono
Od skaz wszelkich wolne
I z pogodą niezmaconą
Do poświęceń zdolne,
Jeśli zawsze szczytne cele
Do czynu je zbroją,
Zeń wezglowie ja uścielę
Pod białą skroń twoją.

Jeśli jest gdzie sen miłości
Owian wonią róży,

Sen, któremu głos przyszłości
Wieczne szczęście wróży,
W którym Bóg swe łaski kryje,
Co łączy dusz dwoje,
Zeń gniazdeczko ja uwije
Na serduszko twoje.

Z EUGENIJUSZA MANUEL.

KOCHANKA WYROBNIKA.

„**H**ej! ty młody, z smutkiem w oku
Wyrobniku, zwolnij kroku!
Jak twój lubej imię?“
„Zwie się Mania, dobry panie
A na strychu ma mieszkanie,
Wiatr tam świszezy, w zimie.

Lat szesnaście jój, nie więcej!
Lecz ma rozum nie dziecięcy!
Chora! pokaszluje!...
Taka chuda! taka blada!
Przykro patrzeć, kiedy siada
Z igłą i pracuje.

Dniem i nocą biedna szyje,
W taki sposób się nie tyje;
To téż co dnia bledsza!
Ot! jedyna rada na to,
Dać jój, kiedy przyjdzie lato,
Wiejskiego powietrza!

Zimą — drzewa jój nie stało;
A przez okna tego wiało!
Żle była odziana...
To téż coraz ciszej śpiewa
I czerwone plamy miewa
Na policzkach zrana.

Ni przyjaciół! ni rodziny!
W klatce tylko dwie ptaszyny,
Są jój całym światem.
Mieć kochanka nie chce wcale;
I ja, choć ją kocham stale,
Tom jój tylko bratem...

Żeniłbym się z nią, mój Boże!
Cóż! gdy ciągle trwa w uporze;
I w oknie wieczorem
Staje mi, jak lilija biała...
Wczoraj znowu krwią spluwała!
Możesz pan doktorem?"

* * *

— „Hej! ty młody, z smutkiem w oku
Wyrobniku, zwolnij kroku.
Cóż z twą biedną Manią?"
— „Idę do niej, do szpitala,
Bóg żyć dłużej nie pozwała,
Pomódl się pan za nią..."

Z BYRONA.

I.

DO M. S. G.

Twoje usteczka, jak różane kwiecie,
Do pocałunków i pieszczot stworzone.
Ach! one mogą dać szczęście na świecie
Ale to szczęście.... nie mnie przeznaczone.

Pochylić głowę, na twe łono białe
I twoim wonnym poić się oddechem,
To także szczęście.... Precz żądze zuchwale!
Już sama myśl ta, zda mi się być grzechem.

Twych cudnych oczu czarowne spojrzenie,
Wzbudza nadzieję, albo rodzi trwogę
Dość! Ustom mogę nakazać milczenie,
Ale łzom płynąć, zabronić nie mogę.

To słowo „kocham," dotąd byłem w stanie
Baczyć, by z wrzającą piersi nie uciekło.
Mam-ż mówić teraz, gdy takie wyznanie
Niebo twój duszy zmieniloby w piekło?

O! bo tą chwilą, gdy u stóp ołtarzy
Związani stulą, kochankowie stoją,
Tą chwilą los nas nigdy nie obdarzy.
Ty luba — nigdy nie możesz być moją.

Ogniu miłości! traw mi piersi skrycie,
O twój potędze, ona się nie dowie
Na czarny węgiel spal mi raczej życie,
Niżlibyś w grzeszném miał wybuchnąć słowie.

O moja miła! ja ci nie zabiorę
Twego spokoju, by nim ulżyć sobie;
Choćbym uleczyć miał me serce chore
Takiem lekarstwem ja tego nie zrobię.

Śmiecie się, śmiecie, usteczka różane
Od pożądania was, jestem daleki,
Zostańcie czyste, ja — czysty zostanę,
Cudne usteczka, żegnam was na wieki!

Twe łono, oddech niech kołysze wolny,
Ja go nie znając szaleń namiętności,
Choć za twój uścisk ach! ja bym był zdolny
Poświęcić wszystko! prócz twój niewinności!

Żegnaj! tak święta, jakeś nią z rąk Boga
Wyszła — los już się nie zmieni. Daremnie!
Idę by cierpieć! Ale ty o droga!
Kolców miłości nie poznasz przezemie.

II.

DO M. S. G.

Śniłem, że kochasz. Czemuż zapłoniona
Rumieńcem gniewu, ranisz mnie boleśnie?
Wszak mi na jawie twa miłość wzbroniona,
Dozwól więc chociaż uwierzyć jéj we śnie.

O Morfeuszu! przybywaj co żywo,
Makowém berłem potrząś mi nad głową,
Niech znów w bezwiedność popadnę szczęśliwą,
Niech sen uroczy przemarzę na nowo.

Sen bratem śmierci! Ach! gdyby mnie zmorzył,
I oddał siostrze — więcej mi nie trzeba,
Chętniebym ciężar mego życia złożył
Bo to co śniłem, jest przedsmakiem nieba.

O piękna Pani! rozmarszcz czoło, proszę,
Nie sądź, żem syt już taką senną chwilką,

Jeśli śniąc grzeszę, ciężką karę znoszę,
Skazany będąc, żyć marzeniem tylko.

Wierzaj mi Pani, ja cię nie chcę łudzić,
Mnie nie w tym razie nie ujdzie bezkarnie,
Ze snu każdego trzeba się obudzić,
A nad zbudzenie, gdzież sroższe męczarnie?



III.

D A R Y.

Dałem ci łańcuch, kowany misternie,
Dałem ci lutnię z czarownymi dźwięki
Dałem ci serce kochające wiernie,
Wszystko to dałem, do niewiernej ręki.

W obu tych darach, były amulety.
Im zawierzyłem, gdym się puszczał w drogę;
Te mnie nie zwiodły. Ach! czemuż niestety!
O tobie tego powiedzieć nie mogę?

Ten łańcuch siłą uraga żelazu,
Ale dotknięty obcą dłonią pęka,
Ta lutnia śpiewna — lecz milknie odrazu,
Gdy na jój strunach, spocznie obca ręka.

Płocha dziewczyno! one cię wydały
One dowodzą to, co byś skryć chciała,

Że obce palce na téj lutni grały,
Że łańcuch z szyi, obca dłoń zerwała.

Wracalem, myśląc, że w długiej rozłące,
Już ci tam tęskno bezemnie i smutnie...
I cóż znalazłem? Serce zdradzające,
Stargany łańcuch, i milczącą lutnię.



SPIS RZECZY.

	str.
Dola grajka	5
Dwie próby	22
Blade róże	34
Wieczór nad Morskim Okiem	43
Szara godzina	46
Do nocy	49
Z wojny Grottgera:	
I. Pójdź ze mną w dolinę łez	51
II. Zły znak	53
Młodemu poecie	56
Zwiędły liść	59
Łza	61
Do mojej myśli	63
Z balowych scen	65
Nad strumieniem	68
Impromptu	72
Kto?	75
Urywki wiosenne	78
Na strunie serca:	
I. Miłość porusza świat	89
II. Długo życie dla mnie było	90
III. Kochaliśmy się	90
IV. Intermezzo	91
V. Jesienna zwrotka	95
VI. Do	97

	str.
VII. Mój wale	99
VIII. Ostatnia nuta	102
Scherza:	
Trzy spotkania	105
Spóźnione wołanie	107
Piosenka	111
Piosenka ładajaka — na nutę krakowiaka	114
Jedyna rada	119
Z matrymonijalnych dumań	121
Po latach	127
Impromptu	129
Przekłady.	
Z Julijusza Mięna:	
Noc styczniowa	133
Z Alfreda de Musset:	
I. Lucyja	140
II. Nadzieja w Bogu	144
III. Śpiewka Fortunija	153
IV. Przypomnij sobie	155
V. Do kobiety	157
VI. Pożegnanie	159
VII. Do Niny	161
VIII. Powrót	164
Z Wiktora Hugo:	
I. Grób i róża	166
II. Stara piosenka na nową nutę	167
Z Eugenijusza Manuela:	
Kochanka wyrobnika	169
Z Byrona:	
I. Do M. S. G.	171
II. Do M. S. G.	173
III. Dary	175



1001-

884-1
Hajota
Poezyje